

BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,
S o l e c 87.

„BLUSZCZ”

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,
Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 2-44-18.

telefon 6-76-72.

Redaktorki: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelnia) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*

Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-05.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Moja służąca — *W. Bar.* Poezje: Więdząca kampanula. Muszla. Śmietnik — *Marja Pawlikowska-Jasnorzewska.* Nieumyślna cnota — *Wanda Melcer.* Wizyta u Sigridy Undset — *Prof. Wł. Burkath.* Lombard — *Zofja Popławska.* Powrót — *Marja Ankieliczowa.* Budujące się miasto — *Jerzy K. Maciejewski.* Szkoła wychowania dla młodzieży bezrobotnej — *St. Osińska.* Z teatrów — *S. P. O.* Z ubiegłego tygodnia — *J. N.* Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla: Zakładamy ogródek — *Marja Dąbrowa.* Sadźmy kasztany — *Remiszomska.* Przechowanie dalsi i pacioremczników — *Marja Mauve.* Dom i gospodarstwo: Co będziemy nosiły — *Maryna.* U progu sezonu towarzyskiego — *Wanda Dobrzańska.* Przepisy gospodarskie — *Melba.* Mody i roboty. O ratunek dla szkół Macierzy. Z Kongresu światowego instruktorek skautowych.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. tekstu —	700.—
$\frac{1}{2}$ „ „ —	400.—
$\frac{1}{4}$ „ „ —	200.—
$\frac{1}{8}$ „ „ —	100.—
$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—

Okładka III-cia

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. okł.—	500.—
$\frac{1}{2}$ „ „ —	250.—
$\frac{1}{4}$ „ „ —	150.—
$\frac{1}{8}$ „ „ —	80.—
$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—

Okładka IV-ta

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. okł.—	600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-05. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Przegląd

SPOŁECZNO-LITERACKI ILUSTROWANY TYGODNIK KOBIECY

Moja służąca

Kwestja wiecznie nowa i wiecznie ta sama.

Niema dobrych służących, służąca nie jest nigdy, lub jest wyjątkowo rzadko, człowiekiem prawdziwie, szczerze życzliwym dla swych chlebobawców. Tak mówią panie. I to kobiety nie tylko zadomowione, na „starą modłę“, wymagające od pomocnicy domowej postawy roboczego wołu, drepnące od rana do nocy po domu, zaglądające w każdy garnek. Nie, zdania takie słyszy się często od kobiet młodych, postępowych, prowadzących dom w myśl racjonalnej organizacji pracy i w zasadzie życzliwie dla służby uosobionych.

Dlaczego tak jest?

Chyba z wielu przyczyn, gdyż doświadczenie życiowe uczy nas, że zwykle większość samych układów społecznych nie wynika z jednego, lecz pochodzi z kilku lub kilkunastu.

Ważną stroną ujemną jest bezsprzecznie bardzo niski poziom umysłowy tych kobiet, które idą do służby. Może za lat kilkanaście, pokolenie, które przechodzi obecnie szkołę powszechną będzie już inne. W tej chwili jednak jest jeszcze pod tym względem niedobrze. Mówi się o szkołach zawodowych dla służących; są już nawet przecież te szkoły, ale po pierwsze jest ich znikoma ilość, po drugie sama umiejętność gotowania nie tworzy człowieka. Doskonała kucharka lub zręczna pokojówka może być mimo tego najniezaradniejszą służącą, jeżeli będzie harda i tak już elementarnie niekulturalna, że współżycie z nią w domu stanie się niemożliwe. Nie będzie też przyjemnie ze służącą nawet grzeczną i uzdolnioną, ale zupełnie nierozwiniętą umysłowo. Znam np. taki jeden typ. Rzeczona Marcysia zastanawia się poważnie nad tem: czy to w Rosji też słońce świeci? Można by jej to zresztą, od biedy, zapisać na karb zdrowej ciekawości wiedzy, gdyby nie to, że pomimo, iż jest i chętna, i uczciwa, stwarza w domu swoją głupotą konflikty wcale nie zabawne.

Wszystkie tego rodzaju osobniki, to plaga pań. Trudno, w dzisiejszych czasach intensywnej pracy kobiecej, czy to zawodowej, czy podejmowanej dla swojej choćby satysfakcji, w epoce życia publicznej

go, podróży, wycieczek i sportów, trzeba mieć do pomocy w domu człowieka przeciętnie inteligentnego i kulturalnego, posiadającego prócz umiejętności gotowania i sprzątnięcia, zdolność logicznego myślenia i trochę elementarnej wiedzy. A tymczasem, ile mamy dziewcząt, które pójdą do obowiązku, jako pomocnice domowe, po ukończeniu szkoły powszechnej? Choćby kilku oddziałów? Niesłychanie znikoma ilość. Trzeba stwierdzić ze smutkiem, że dwa są „fachy“ kobiece, nie wymagające, rzekomo, żadnego przygotowania: służąca i żona.

A przecież nie jest to, w dzisiejszych trudnych czasach, fach najgorszy. Prawda, pensje są obecnie mniejsze. Trudno jest, nawet wykwalifikowanej i zdolnej służącej dostać 60 zł. miesięcznie. Przeciętnie zarabia 40, niewykwalifikowane dochodzą połowy tej sumy. Weźmy jednak pod uwagę, że służąca ma przytem mieszkanie i całodzienne życie, plus opał, światło, pranie, tak, że te kilkadziesiąt, lub nawet kilkanaście złotych zostaje jej do rozporządzenia tylko na ubranie i drobne wydatki. Dodajmy, że dużo rzeczy z ubrania, już to nowych, już znoszonych dostaje w formie prezentów. A ileż jest robotnic w przemyśle, zarabiających 2 złote dziennie, za które muszą się utrzymywać całkowicie.

Nie jest więc tak źle. W dodatku teraz, wobec coraz większej rozbudowy miast, coraz większa ilość osób posiada mieszkania własne, nowoczesne, w których jest osobny pokój dla służącej, niema więc niehigienicznego sypiania w kuchni i służąca ma swój kącik, w którym może odpocząć spokojnie.

Warunki bytu nie są więc najgorsze, cóż zatem powoduje, że każda dziewczyna inteligentniejsza woli znosić nieraz ciężką biedę, niż obrać sobie zawód pomocnicy domowej?

Przyczyną tego, bezwątpienia, najważniejszą jest nastawienie chlebobawców.

Wiem, że wywoła to oburzenie wielu pań: służące są dobrze traktowane. Nie, nie są dobrze, nie są, w większości wypadków *właściwie* traktowane i to jest druga przyczyna rozdzwiku pomiędzy nami, a naszą służbą. Regularnie wypłacana pensja, przyzwoite życie, względna uprzejmość, gdy pani wypełnia

te warunki, zdaje się jej, że to jest cały i jedyny sposób stosunku do służącej.

A tymczasem to nie wszystko.

Najpierw wymagamy od służącej, tak zwanej, przychylności. Nie mogę zorientować się dokładnie, czy to nazwa jest niewłaściwa, czy samo pojęcie. Jeżeli chodzi o to, aby służąca nie brała koszykowego i spełniała swoje obowiązki, to chodzi poprostu o *uczciwość* i tego mamy prawo wymagać, ale zwykle pod tem mglistem określeniem rozumie się co innego: wymaganie serdecznego przejęcia się życiem i sprawami chlebobawców, a to już jest zupełnie inna kwestja. Tego można żądać od urzędnika, pracującego dla państwa, dla instytucji społecznej lub naukowej, ale nigdy od dziewczyny, godzącej się na służbę. Ta przychylność, życzliwość, przywiązanie nawet serdeczne jest możliwe, zdarza się, choć rzadko, ale to musi wytworzyć się dopiero z czasem i wymaga... wzajemności. Jeżeli pani będzie „przychylna” dla służącej, postara się poznać jej charakter, jej dolę, warunki rodzinne, dopomóc wedle możliwości w każdej trudnej chwili, wtedy będzie można mówić o życzliwości i przychylności.

Drugim błędem w stosunku do służby są wygórowane wymagania. Historyczna anegdota: Co robi Jan? pomaga Pawłowi, a co robi Paweł? pomaga Piotrowi, coż robi Piotr? — Piotr nic nie robi, — określiła nasze pojęcia dzisiejsze w sensie błędnym. Z czasów, gdy mieliśmy liczną służbę, nieraz istotnie „pracującą” tak, jak w tej anegdocie, zostało nam wyobrażenie o możliwości pracy w czasie *jednej* służącej „do wszystkiego”.

Wymagamy od niej często wszystkiego dosłownie. Tu pan żąda szklanki herbaty co pół godziny, tam pani nie wyjdzie z domu, aby jej służąca nie zapięła śniegowców, lub nawet pantofli, gdzieindziej wszyscy robią potop w łazience i po każdym trzeba wytrzeć nawet szklankę do mycia zębów i szczoteczkę, jeszcze w innem miejscu posyła się służącą pięć, sześć i więcej razy do miasta, po papierosy, po to, czego się zapomniało, i po Bóg wie co jeszcze. Nierzadko przytem wymaga się, aby porządkowała w szafach, szukała różnych porozrzucanych i wiecznie zapodzieiwanych rzeczy, ubierała dzieci i odprowadzała je do szkoły. Sam Taylor dostałby kręcka w takim systemie, coż mówić o biednej, często głupowatej, dziewczynie.

I nie są to wcale wyjątki. Większość pań uważa jeszcze, że służąca powinna cały dzień bez przerwy pracować około domu. W czasie, gdy wszędzie wprowadzono ośmiogodzinny dzień pracy, w tym fachu dziesięcio i dwunastogodzinny wydaje się za mało.

A tymczasem znana i wielokrotnie stwierdzona jest zasada, że człowiek pracujący zadługo, pracuje źle. Najlepszym tego dowodem praktycznym jest, że w domach, gdzie jest więcej służby, np. kucharka i pokojówka, stosunki są już o wiele lepsze.

Należałoby wogóle wyrobić w sobie inne zupełnie nastawienie: nie służąca, a tak, jak to obecnie jest projektowane *pomocnica*. Należałoby określić pozatem ściśle rodzaj jej pracy. A więc, tam, gdzie jest jedna pomocnica na, przypuścimy, cztery osoby,

trzy do czterech pokoi, powinna ta pomocnica sprzątać, to znaczy utrzymywać w czystości, podłogi i meble i przygotować posiłki, pozmywać, sprzątnąć kuchnię. Wystarczy to zupełnie na ośm do dziesięciu nawet godzin pracy, jeśli ma być zrobione porządnie i dokładnie. Posług osobistych, ciągłego podawania czegoś, sprzątania po każdym drobiazgów nie można wtedy wymagać. W czasie prania lub większych porządków, musi w zajęciach domowych dopomóc pani, lub najemnica. Tak samo część pracy domowej, lżejszej powinna wziąć pani, o ile w domu jest więcej osób lub dzieci.

To jest techniczna strona sprawy, ważna, lecz nie jedyna. Duże znaczenie mieć będzie właściwy stosunek do służącej. Trzebaby zreformować go też radykalnie. Mówi się: nie należy „poufalić” służby. Zapewne, przy bardzo niskim jeszcze teraz poziomie kulturalnym, a i moralnym nierzadko większości służących, trudno jest, bardzo trudno znaleźć właściwy *ton* w obcowaniu. Trudno zwłaszcza dla niektórych pań, nie mogących wyrzec się poczucia swej wyższości. Myślę, ośmiście, że można, należy nawet rozmawiać ze swoją pomocnicą, jak z równym sobie człowiekiem, odpowiednio tylko do jej poziomu. Tu każdy musi znaleźć własny klucz. Jeśli go znajdzie, wytworzy napewno zaufanie, za którym przyjdzie owa „przychylność”. Znam służącą, z którą obecnie rozmawia się w wolnych u państwa i u niej chwilach o turnieju lotniczym. Interesuje to ją niezmiernie. Pomimo, że b. słabe ma pojęcie o geografji, pokazano jej trasę lotu na mapie, objaśniając, gdzie Francja, Afryka, Włochy. Nie żadna lekcja, zwykła rozmowa. Waga tych rozmów jest ogromna. Ile pojęć można udostępnić, jak rozszerzyć horyzont umysłowy, ile spraw wprowadzić do głowy, która żadnych nie miała zainteresowań, prócz kuchni i magla.

Zastrzegam się, że nie mam ani na chwilę na myśli jakiegokolwiek akcji moralizatorsko-społeczno-politycznej, Boże broń. Kobiety z tej sfery, pomimo że nie zajmują się polityką i sprawami społecznymi, mają o nich swoje pojęcia, niekiedy przedziwne, ale zwykle dlatego właśnie mocno ugruntowane, jak zabobon i każde działanie wprost wywołuje skutek przeciwny. Jeżeli chcemy robić coś w tym zakresie, to dopiero wtedy, jeśli po dłuższym pobycie u nas i pod naszym wpływem, uda się zmienić zupełnie światopogląd danego osobnika, zrobić zeń kulturalnego człowieka, wtedy często następuje i radykalna zmiana różnych przekonań, bez naszego nawet bezpośredniego udziału. Żeby tego dokonać, żeby wytworzyć stosunek wzajemnego zaufania, życzliwości, wpłynąć na psychikę, moralnie podkształcić trochę umysł, trzeba mieć też i własny wpływ osobisty. Trzeba naprawdę stać się dla swej służącej wzorem sympatycznym i budzącym chęć naśladowania i usług. Trzeba wystrzegać się nieszczerości, nadejtej wyższości, moralizatorstwa „z okiem kota”, a także własnych śmieszności, małostek i wad. Dobrze to przysłowie, że nikt nie jest wielki dla swego lokaja. Służba ma tak, jak dzieci, dar momentalnego spostrzegania wszystkich wad państwa. Pani leniwa, wymagająca intensywnej pracy, pani sama rozrzucająca wszystko i nieporządna, a wymagająca ła-

PO ZŁOŻENIU SWOICH OSZCZĘDNOŚCI W P.K.O.

możesz spać spokojnie. Całość ich gwarantuje cały majątek państwa.

du, pani strojnista, a krępująca każdą chęć ubrania się i elegancji u służącej, pani mało inteligentna, a przybierająca wielkie tony w sądzeniu każdej rzeczy, żaden taki typ nie zyska prawdziwego szacunku służby.

Niedobrze jest też z przesadnym już zamykaniem wszystkiego przed służącą. Zapewne, że nie należy rozrzucać wszędzie pieniędzy, kosztowności i t. p., ale trzymanie ciągle pod kluczami każdego drobiazgu domowego użytku jest niewskazane, nasuwając zgóry myśl, że służąca musi być nieuczciwa i że trzeba jej się strzec. Każda pani, prowadząca racjonalnie dom, umie chyba obliczyć, ile wychodzi powinno normalnie produktów spożywczych jak cukier, herbata, konfitury, masło. Wie też chyba, ile zużywa swoich perfum lub papierosów. Wrazie zauważenia, że służąca korzysta z tych rzeczy bezprawnie, będzie czas na reakcję. Dlaczego naprzód posadzać ją o nieuczciwość. Nie wytworzy to zaufania, nie podniesie

poziomu moralnego służącej w żadnym wypadku. Reasumując, trudne to może, ale trzeba by zasadniczo zreferować stosunek nas, pań do służących, nie: do pomocnic domowych. Wyobraźmy sobie, dla przykładu, że dostajemy pomocnicę, młodą Amerykankę, która skończyła szkołę normalną i dwuletni kurs gospodarstwa domowego, w którego program wchodzi nawet artystyczne umeblowanie, wytworne nakrycie stołu i ogrodnictwo w zakresie układania bukietów i pielęgnowania roślin. Młoda miss, której mówi się pani, która robi wszystko w domu, ale może mieszkać lub nie u chlebowawców, jadać z nimi, lub na mieście, ma zastrzeżone godziny wolne i t. p. i t. p. Czy traktowalibyśmy ją tak, jak obecnie traktujemy swoją służbę? No, jakże, jakże to różnica, przepaść!

Otóż tę przepaść trzeba by wypełnić. A środkiem na to jest, nie tylko kształcenie służących, lecz i wychowanie samych pań.

W. Bar.



Ach, jak przyjemnie spędziłyśmy wakacje!

Muszla

Fala westchnęła,
przypląnęła,
uszła,
jak Mojżeszową czaromana laską.
Na mokrym piasku
leży czarna muszla,
zaryta płasko...

Więdnąca

Jedwabny, rozdęty dzwon
klęśnie, tęchnie...
Liście zwisają
niechętnie,
tęsknie...

kampanula

Śmietnik

Deszcz pada,
napętniając pogiętą blaszankę...
Blaszanka dudni zcicha,
raną w boku ciurka.
Tuż, przy stłuczonym dzbanie
dusza — nie, nie moja!
dusza do prasowania,
ruda, jak mieroiorka...

Nieumyślna cnota

21)

Po takiej nocy chodziła w dzień na cmentarz, choć robiła to niechętnie i nieczęsto, właściwie tylko dla przyzwoitości. Dłaczegóż mają ojca krzywdzić po śmierci w ten sposób, żeby opowiadać, że nikt o nim nie pamięta, że grób jego zaniedbuje własna córka? Zresztą tak dobrze już teraz poznała ojca! Wiedziała przecież doskonale, że gdyby on był nią, pamiętałby zawsze o tym grobie, że jego uczucie właśnie w ten sposóbby się wyładowywało, że cenil i lubił pozory, rauty, uroczystości narodowe, że odpowiadało to jakiejś jego tajnej potrzebie.

Więc obsadzała płytę na wiosnę bratkami i begonjami, bo nic innego nie potrafiła wymyśleć, prócz tego, czego ją nauczyła Karolina. Idąc tam, brała ze sobą początkowo łyżkę stołową, jak na lekarstwo, a potem kupiła nawet małą łopatkę, tyle okazała inicjatywy, i chowała ją za tamto ogrodzenie z zawijasami, którego widocznie nikt nie rewidował. Polewała kwiaty wodą z malej polewaczki wesolotkozielonej i dawała złotówkę babie nieśmiertelnej, która zawsze się pętała w pobliżu. Potem, natrudziwszy się i wymywszy zgrubą rękę, co zostawiało zawsze trochę czarnej ziemi za paznociami, siadywała na ławce, którą kiedyś kazała tam ustawić Karolina i rozglądała się wokoło na drzewa, zależnie od pory roku zielone, żółte, albo tylko poprostu patyczaste i badała roztrągnionym skądinąd wzrokiem ich funkcje, mianowicie posypywanie liśćmi dróg, albo tylko mało efektowne pęcznienie. Czasami odmiała nawiany śnieg, który zasłaniał wiadome litery (jakże zawsze nieznosne!). Wracając, odczytywała napisy na innych pomnikach, takich, o które wiele osób dbało i takich, o których wszyscy zapomnieli. Jeden był taki, który specjalnie jej się podobał: na kolumnie stało tam dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, dziewczynka z dłuższymi od spódniczki majteczkami i

chłopiec z kamiennym żabocikiem przy kurtce. Pod spodem, pod tą obejmującą się parką, był napis wierszowany:

*Krótkom się z wami bawił, niedługom się pieścił,
alem was już na zawsze w mem sercu umieścił.*

Był także jeden pomnik empirowy, koło którego zawsze przechodziła, pomnik zaniedbany i zapomniany. Był na nim rok z przed stu lat, ukruszone rozety w narożnikach, i nigdy nic więcej. Aż jednego poranku, jesienią zjawily się na tym pomniku zatknięte za metalową kratą trzy astry, każda innego koloru, daleko od siebie wzajemnie rozmieszczone. To było bardzo zastanawiające.

Na wiosnę następnego roku Karolina, która była coraz bardziej sławna, i nie zdążyła jeszcze przyjechać w odwiedzinę, napisała, żeby Adela miała jeszcze trochę cierpliwości, bo na jesieni napewno zabierze matkę do siebie. Ale na ten atak już zupełnie wprost skierowany Adela odpowiadała, że nie chciałaby się rozstawać z matką, że taka osoba, jak ona, tyłkoby swojej świetnej córce zawadzała, i że Adela nie chce zostawać już tak zupełnie samotna, więc niechże się już z tem Karolina pogodzi. Karolina sprzeczała się o to listownie czas jakiś, ale była to sprzeczka bezprzedmiotowa, bo i tak miała wtedy przed sobą doskonałe propozycje do Ameryki Południowej i o osiedleniu się gdzieś na stałe nie mogło być mowy. Potem przestała nalegać i już tak zostało.

Adela dzięki szczodrośliwości Karoliny miała teraz dość pieniędzy, to znaczy dość w skromnej bardzo skali, bo nie chciała nigdy wziąć od siostry więcej, chociaż tamta jej to wielokrotnie i uczciwie proponowała i Adela nie miała nigdy wątpliwości co do szczerości jej propozycji. Nie miała jednak także wielkich wymagań, urządziła sobie mieszkanie tak, jak miała na to ochotę (choć ochota jej zmieniła

się zupełnie), miała kilka znajomych domów, do których chodziła i przyjmowała niektórych, mało absorbujących ludzi u siebie. Czytała książki, nad którymi nie trzeba było za dużo się zastanawiać, trochę grała na fortepianie i śpiewała (po kilku latach zdecydowała się na to), ale o karierze śpiewaczki nie było już co myśleć. Jak wiadomo, Adela nie miała nigdy świetnego głosu, a teraz głos ten, nie kształcony, zmarniał i zmalował jeszcze bardziej i stał się zupełnie podobny do głosu ciotki Zofji, kiedy śpiewała swoje „wijut wichry”. Nikomu nie przysłoby teraz do głowy zapraszać Adelę na koncerty, bo przecież także nie była nigdy ładna, a teraz nie była też już i młoda i ostatnie uroki uciekły z jej twarzy i postaci. Zapadnięta w podziemne, tajemnicze historie swojego dzieciństwa, tak, jak matka w niesamowite sprawy rodowopolityczne, utonęła Adela z głową w gliniane wspomnień, skąd już nigdy nie miała się wydostać. Wszystko, co nietyłe dobre, (bo i cóż tam było naprawdę dobrego albo przyjemnego do wspominania?) jedynie interesujące zdarzyło się w jej dzieciństwie, tam tylko, w przeszłości, działy się rzeczy godne zastanowienia i uwagi. To, co mówiła babcia, nieliczne zdania, które się pamiętało o poświęcającej się trędowatym ciotce z Madagaskaru, fotografie przyjaciół ojca i jego los tragiczny, to były jedyne istotne wydarzenia w jej życiu. Teraz, kiedy w niedzielę służąca spóźniła się do domu i wracała nad ranem, tak, że trzeba jej było drzwi otwierać, Adela mówiła „młodość musi się wyszumieć” choć żeby ją kto zabił, nie umiałaby powiedzieć, jak właściwie młodość szumi? Nic się też właściwie już w jej życiu nie zdarzyło godnego uwagi, nawet relatywnie, dla niej samej godnego uwagi. Nie jest to trudno objaśnić: Adela nie była nigdy silna moralnie, czy duchowo, nie była poprostu mówiąc indywidualnością. Można ją było ostatecznie w coś popchnąć, ale

przy jej biernym oporze, (bo tylko na taki mogła się zdobyć) i to nie było łatwo. Więc bez trudu (z czyjej strony?) tak się złożyło, że kiedy ona może trochę, troszeczkę poddawała się jakimś namowom, kiedy byłaby do czegoś nowego zdolna, kiedy potencjonalnie nosiła w sobie jakieś ziarneczko, które można było posadzić do ugrojonej ziemi, z tej drugiej strony życia, czy osoby namowa była słaba, propozycje nieciekawe, argumenty, chociaż rzeczowe, ale bez siły przekonującej. Podczas kiedy znowu, jak już Adela, zrażona, czy zmęczona, straciwszy narazie cały małeńki zasób nietrebowanej siły, opadała i odwracała się, te namowy stawały się gorętsze, możliwości pełniejsze, choć znowu nigdy tak silne i pełne, żeby w niej stworzyć to, czego tam nie było, żeby dmuchnąć z taką siłą na gasnące isierki, aż staną w płomieniach. Przypuszczam, że tu właśnie jest tajemnica owych „szalonych okazyj”, o których ludzie mówią, których pożądają, których zazdroszą i które według nich tak rzadko się zdarzają. Wcale tak nie jest. Bacon słusznie powiedział, że Fortuna (jest ztyłu łysa, jak kolano: jeśli jej nie schwycić za workoczek wtedy, kiedy jest do ciebie frontem odwrócona, próżno ją będziesz gonić. Trzeba ją właśnie złapać za te kudły, i przygiąć, i przygiąć!

Wszyscy przeżywali to samo, co Adela, nie było w jej życiu nic wyjątkowego, a przecież nie każdy zaraz... Bo ostatecznie, cóż mamy myśleć? Że nie została śpiewaczką, bo Karolina wyjechała? Albo, że została starą panną, ponieważ naręczony przywitał się wpięrow z siostrą, wchodząc do pokoju? Albo, że nie rozstała się z matką, bo ta jej w porę podarowała toaletowe mydełko? Przecież to absurd!

A potem jeszcze się właściwie zdarzyło coś takiego, co mogło zmienić bieg życia Adeli, ale było to dużo później, nawet w kilka lat po dziwnym małżeństwie Karoliny. Należy tu dodać, że Karolina wprowadziła swojego męża do domu siostry, że odwiedzała ją przynajmniej raz do roku, że synowie Karoliny przebywali w domu ciotki nawet po kilka tygodni. Jednak Adela nie przywiązała się nigdy do tych dzieciaków, choć tu może byłoby dla niej właściwe pole. Nie myślała już nawet później, że kiedyś chciała mieć własne dzieci. Dopiero też wtedy, kiedy pierwszy z tych chłopaków był na świecie, Adela domyśliła się, że Karolina nigdy nie była zajęta Andrzejem, a Andrzej nigdy nie kochał się w Karolinie, że można było spokojnie wychodzić za niego zamąż. I nie tylko zrozumiwała to, ale nawet wyśmiewała się z siebie bez litości, że mogła coś ta-

kiego pomyśleć, bo przecież Andrzej nic w sobie nie miał takiego romantycznego, co mogło się podobać tej świetnej Karolinie, jak to zresztą najjaśniej występowało wtedy, kiedy się porównywało jego już zresztą coraz bardziej uciekającą w niepamięć sylwetkę z osobą męża Karoliny. Ktoś kiedyś nawet powiedział, że Andrzej wcale się nie ożenił i pozostał samotny, nie miał nawet żadnej kochanki, o którejby wiedziano, ale Adeli był już wtedy najzupełniej obojętny, zresztą nigdy się do niej nie odezwał i nigdy więcej się nie spotkali.

Więc to, co się zdarzyło, wyglądało tak: Adela była u jednych znajomych i któregoś wieczora, kiedy się bardzo zapóźniła, odesłali ją swoim autem do domu. Adela знаła oczywiście to auto i tego szofera, ale nigdy nie miała okazji z nim rozmawiać. Dopiero tej nocy powiedział, że znał ją dawno, choć o tem nie wiedziała, bo kilka lat temu był szoferem na taksówkę i stał na rogu Tamki. Radca Podolski miał do niego dużo sympatii i był z jego pracy tak zadowolony, że kiedy raz przypadkiem wsiadł do jego dorożki, kazał mu potem po sobie przyjeżdżać i zawsze tylko jego brał, kiedy potrzebował wozu. Dla podtrzymania rozmowy, Adela spytała machinalnie, dokąd jeździł ojciec i usłyszała ku swojemu zdumieniu, że jeździł często do jednej pani, a nawet przed samą śmiercią coś na trzy dni był z tą panią w kinie.

Adela wyskoczyła z auta, jak goniona przez furję. Więc tak odbywało się to wszystko! Więc drugi dom! Więc pani, do której się często jeździło! Więc zdrada, zdrada, zdrada!

Tak, jakby mogła pomyśleć, że ten szofer wie, co się w niej dzieje, Adela o nic się go samodzielnie nie spytała, ani o adres tej... osoby, ani o nazwisko, które napewno znał. Adela miała zresztą zawsze typowy esprit d'escalier, zawsze najświetniejsze pomysły przychodziły jej wtedy, kiedy były bezużyteczne i nie dawały się zrealizować. Ni stąd ni zowąd poszukiwać cudzego szofera, może telefonować do niego, może się z nim umawiać! Trudno też było wtajemniczać w swoje kłopoty tamtych, niby to bliskich, w gruncie jakże dalekich ludzi!

Męczyło bardzo czekanie na okazję, chociaż ta okazja przyszła niedługo, szczególnie, kiedy się jej trochę pomogło: oto znowu zdarzyło się, że można było być samą z upragnionym szoferem i wtedy ach, z ilu obawami, jak okólnymi drogami dowiedzieć się nareszcie, że „ta pani” nazywała się Berta Zajdman i mieszkała przy ulicy Kredytowej pod numerem 20.

Berta Zajdman! Coś to nazwisko

Dzieci mogą być skromnie ubrane!

a będą wyglądać schludnie i estetycznie, o ile będą miały starannie umyte, puszyste główki. „Shampoo w proszku” do mycia włosów M. Malinowskiego absolutnie nie drażniąc naskórka, usuwa zjeżdżały tłuszcz, wszelkie wydaliny skóry, oraz naleciałości pod postacią brudu, nadaje włosom elastyczność, puszystość, oraz piękny połysk. „Shampoo w proszku” wyrabiane jest w dwóch rodzajach z przeznaczeniem do włosów jasnych i ciemnych.

Apteka, Warszawa, Nowy Świat 31.
Lab. Chem. Farm. ul. Chmielna 4.

mówiło, ale nie było wiadomo, co, mówiło półgłosem, czy półgębkiem, w każdym razie niewyraźnie. Berta Zajdman! I jakiegoż typu wogóle mógł być ten stosunek, oia z młodą czy starawą Izraelitką? Któż to był tak zwana „artystka”, baletnica, czy wogóle jakiś dziweczak, czy poprostu snobka? Ale nie, Adela знаła, a przynajmniej dotychczas zdawało jej się, że poznała gust ojca: nie lubił kobiet zbyt inteligentnych, rozmowa z niemi przynajmniej o tyle go nudziła, co i onieśmielała. Więc raczej baletnica? Może diseuse'a, recytatorka z Morskiego Oka? To przecież był kasek dla starszych panów!

Więc na to szły pieniądze, na to mogły iść pieniądze, których wcale nie brakowało w domu. Przecież jakiegokolwiekby miała wymagania, jakiegokolwiekby się ubierała, zawsze musiała od czasu kupować sobie suknie, wyciągać grosze na jedwabne pończochy od człowieka, który miał żonę i dorosłą córkę! Ach, więc jakież ten ojciec!

Adela nie pojechała na Kredytową, raz tylko wstąpiła, przechodząc, do tego domu i spojrzała na listę lokatorów. Był to bardzo elegancki dom, odnowiony, wielopiętrowy, z kwiatami na balkonach, z marmurami prawdziwymi w bramie. Ale właśnie lista lokatorów była zmieniana, zamiast pięknych, eleganckich kart, jakby się w takim domu należało, były tylko w ramie ze stłuczonem szkłem świstki papieru i rzeczywiście na jednym z nich stało Zajdman, ale czy był to mężczyzna, czy tylko samotna kobieta, i jaki był jej (jego) fach, tego nie można było pojąć z tej karteczki. Pytać się dozorcę byłoby śmiesznie, i zresztą, właściwie poco?

(d. c. n.).

Wanda Melcer.

Wizyta u Sigridy Undset



Sigrida Undset u siebie.

O cztery i pół godziny drogi od Oslo, na linii kolejowej, łączącej stolicę norweską z antycznym Trondhejmem leży zaciszne Lillehammer, otoczone ze wszech stron górami i legendą o mieszkającej w nim wielkiej powieściopisarce norweskiej. Legendą, gdyż pani Sigrid Undset uchodzi za samotnicę, wiodącą w swym dalekim dworku żywot mało komu znany. Wielka ta Samotnica norweska — jak ją nazywają — nie udziela się prawie nigdy, rzadko jedynie udaje się do stolicy, lub zagranicę. Nimb tajemniczości, spowijający Lillehammer, staje się przez to jeszcze bardziej ponętny. Minister Neumann, poseł nasz w Oslo, zapatruje się na moją zamierzoną wizytę wręcz pesymistycznie: łatwiej jest pono trafić na przyjęcie do króla Haakona, niż przeniknąć do pustelni pani Sigridy. Nie grożą tam zapewne dziennikarzowi wielkie brytany Knuta Hamsuna, które na widok „wywiadu” prasowego odwołują go... z miejsca, niemniej twierdza jest niedozdobycia.

Jeśli udało mi się uzyskać to, co było płonnym marzeniem dla wielu moich poprzedników, jest to zasługa nie moja, ale spraw katolickich i... Radja.

To zestawienie brzmi nieco paradoksalnie, czyż jednak nasze zwy-

cięstwa w życiu opierają się zawsze na zdrowej logice?

* * *

Kiedy odszukałem, nie bez trudu, domek, a raczej dwa bliźniacze domy, w których mieszka autorka „Krystyny”, było skwarne, lipcowe popołudnie, jedno z tych niewielu, tak dla północnej Norwegii charakterystycznych. Cisza w przyrodzie i gorąco łączą się tam zarówno w jakiś osobliwy błogostan; nie zakłócają go nawet owady, zdala tylko dochodzi mnie szmer jednej z tysięcy szmaragdowych kaskad górskich. Chwile między dzwonkiem, a uchyleniem drzwi wydają mi się wiecznością. Te kilka skwarnych, spędzonych w pociągu godzin miały ten jedynie cel przed sobą. Wreszcie... otwierają się drewniane, z wiejska okute drzwi. Pytam o Sigridę Undset, melduję się listem od jednego z działaczy katolickich z Polski, który uprzedził mnie zawczasu, że tylko tą drogą można przeniknąć do Lillehammer. Z bijącym sercem czekam i uzyskuję po chwili pozwolenie przekroczenia progów tego tajemniczego domu... Rozglądam się ciekawie po gabinecie, będącym zapewne pracownią autorki. Rozrzucone w nieładzie papiery, sporo starych sztychów na ścianach, jeszcze więcej książek w rogu pokoju, mnóstwo nieznanych mi, tutejszych kwiatów...

Po długiej chwili rozsuwa się kotara, łącząca dwa pokoje i... staje

przedemną wyniosła, o zamyśleniu w wielkich swych oczach, Sigrida Undset. Skromna, obcisła suknia i bezpretensjonalne uczesanie harmonizują przedziwnie z wiejskim otoczeniem domu. Oczy pytają mnie, jakby z wyrzutem: poco tu przyszedłem, nietyłe jednak nieufne, ile smutne. Duża, kształtna ręka wyciąga się szczerze na znak powitania...

— Nazwisko pana jest mi znane... — słyszę w pięknej francuszczyźnie — wszakże to pan grał parę dni temu muzykę polską w naszym Radio?

Przyznaję, że najmniej spodziewałem się tego pytania, a już najmniej liczyłem na to, że Samotnica z Lillehammer uznaje nowoczesność transmisji radiowych. Przebiega mi jednak myśl, że pytanie to będzie mojem wybawieniem, boć przecież prawdziwi dziennikarze ex officio nie dają koncertów!..

Potoczyła się długa, niezapomniana, a taka prosta w formie rozmowa. Poprzez muzykę i Griega, którego Undset знаła osobiście, ja zaś odwiedziłem grób jego w Houp przed kilku dniami, przeszliśmy do spraw religijnych. Dziedzina ta, bynajmniej mi nie obca, jest obecnie osią zainteresowania i treścią życia p. Sigridy. Przed paru dopiero laty poczuła ona światło prawdziwej Wiary, dzięki rozczytywaniu się w pracach kardynała Newmana i własnym, jak mówi, przeczuciom.

Katolicyzm ze swoją głębią myśli i wspaniałością kultu opanował ją całkowicie, spowodował nawet ze-



Wnętrze izby staronormeskiej, w której Sigrida Undset spędzała długie godziny przed napisaniem „Krystyny, córki Lavransa”.



Siedziba Sigridy Undset w Lillehammer.

rwanie więzów małżeńskich... Na ten temat mówiliśmy może najwięcej, a pani Undset zapalała się za każdym zdaniem coraz bardziej. Jej domowa kaplica w salonie w Lillehammer staje się od paru lat siedzibą propagandy Wiary: skupia ona wszystkich tych, którzy pragną wysłuchać Mszy św., odprawianej tu kilka razy w miesiącu. Jej zamierzenia twórcze, których autorka nie precyzuje, będą miały obecnie na celu wsączenie w czytelników zainteresowania Rzymem katolickim.

— A więc, tendencja — pytam.

— Tak, ale ta najszczytniejsza — słyszę — bez której nie stałabym się tem, czym dziś jestem...

Najtrudniej jest mi rozchylić tajemnicę twórczości: p. Undset uchyła te pytania, wyczuwam, że wszelki snobizm jest jej obcy, że myśli kryjące się w głębi wielkich, smutnych oczu, błędzą gdzieś po wyżynach. Wyjątkiem w tym względzie było kilka słów retrospektywnych o pierwszej jej powieści.

Ponieważ zapytałem o drogę do muzeum etnograficznego w Lillehammer, kryjącego w sobie jak Skansen czy Bigalö, wiele lokalnych pamiątek, dowiedziałem się, że tam, przed dwudziestu kilku laty, w zaciszu zbiorów Sandvigowskich studiowała, czy przeżywała raczej pani Undset wizję jednego z najpiękniejszych swoich opisów literackich — dzieciństwa Krystyny. Tam również, w kontakcie z budownictwem antycznej Norwegii powstały koncepcje innych utworów, nowel i „Opowieści”.

Blisko połowę swojego życia spędziła Undset w swoim ulubionym Lillehammer. Tu zastał ją przed dwoma laty jubileusz, tu nadchodziły i nadchodzą z całego niemal świata listy i odznaczenia. Wspomi-

nam mimochodem o przekładach polskich z jej powieści, o wielkiej poczytności, o naszej młodej i najmłodszej literaturze. Moja rozmówczyni zna wiele nazwisk, interesuje ją skład i działalność Polskiej Akademii Literatury, najwięcej może... życie i akcja katolicka w Polsce.

Po skwarnym dniu nadchodzi szybko zmierzch. Nie pomny tego, że już dwie blisko godziny bawię w domu wielkiej pisarki, nie mogę zdobyć się na zamiar odejścia. Jakiś czar zamyślenia, tak dalekiego od życia, przedziwny spokój ducha, będący odbiciem przyrody norweskiej, każe mi zapomnieć o... formach.

W godzinę później szukam w muzeum sandvigowskim tych izb, które natchnęły Sigridę Undset do jed-

ZAPISY NA KURSY RACJONALNEJ KOSMETYKI I MASAŻU LECZNICZEGO

Dr J. ŚWITALSKIEJ

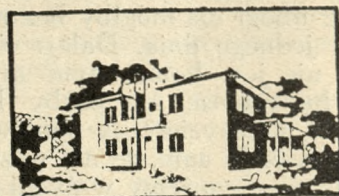
dające prawo otwarcia gabinetu kosmetycznego w Polsce, rozpoczęte.

Informacje i zapisy

Warszawa, Al. Ujazdowskie 37, tel. 8-92-77

Własny dom z ogrodem

na długoletnie RATY



otrzymasz w podstolecznej kolonji

„BRZozowa”

położonej na linii kolejowej łącznicowej, pomiędzy Zieloną a Rembertowem. Idealne warunki klimatyczne w rezerwacie lasów iglastych. Solidne i terminowe wykończenie. Dojazd do centrum miasta 20 minut. Pożyczka B. G. Krajowego zapewniona.

Zamiast płacić wiecznie Komorne przy niewielkiej stosunkowo jednorazowej wpłacie, miesięcznym komornem spłacisz w ciągu kilku lat swój własny dom.

Parcele bez domów od 50 gr. za łok.²

Bezpłatnych informacji udziela i zapisy przyjmuje:

T-wo „BRZozowa” ul. Matejki 7, telefon 9-18-88.

nej z jej najlepszych powieści i odtworzam w myśli te dwie, tak piękne godziny, darowane mi niespodzianą i tak hojną dłonią przez największą pisarkę Norwegji.

Prof. Wł. Burkath.

Dn. 12. 8. 1934.



Stary kościółek w Lillehammer.

Lombard

(Reportaż.)

Lombard jest instytucją, która prócz udzielania pożyczek za pieniądze, zadarmo uczy cierpliwości.

Ta jedna z cnót podstawowych, aczkolwiek nie kardynalnych, u niektórych tylko ludzi bywa cnotą przyrodzoną. Większość rodzi się bez niej i zdobywa ją prędkiej lub później, w ścisłej zależności od warunków życia. Wiadomo powszechnie, że cierpliwość nie jest cnotą konieczną dla bogaczy, że natomiast człowiek ubogi nie mógłby bez niej przeżyć jednego dnia. Dalej: cierpliwość nie jest koniecznym atrybutem buchaltera, ale cóżby bez niej robił nauczyciel? A ponieważ wojna pokazała nam, że nie wszyscy i niezawsze możemy w życiu robić to, co lubimy, albo do czegośmy się przygotowywali, cnotę cierpliwości polecam wszystkim. I, powiadam, nic nie wyćwiczysz w niej tak, jak lombard.

Na zastawienie w tej instytucji własnych swoich skromnych, czy wspaniałych kosztowności, lub ubrania, trzeba około trzech godzin czasu. Na tak zwaną prolongatę, od półtorej do dwu godzin. Ponieważ manipulacje, związane z tym doniosłym aktem trwają najwyżej 10 minut (pół minuty albo i mniej załatwia urzędnik „prolongatę” na dokumencie, drugie pół dajemy kasjerowi na wywołanie numeru i przyjęcie pieniędzy, całe zaś 9 minut pozostawiamy na załatwianie innych formalności), 80 do 110 minut czekania na coś, co się załatwia w 10 minut, może chyba wyćwiczysz w cierpliwości najbardziej odpor-nych!

Bo ludzi się, kto sądzi, że można przyjść do lombardu na czas. Jeżeli ta instytucja otwiera się o godzinie wpół do dziewiątej, już od wpół do siódmej stoi przed drzwiami długi ogonek. Mnie los sprowadził do lombardu około godziny jedenastej.

Duszna ciemna sala zdawała się tak natłoczona, że chyba nikt więcej jużby się w niej nie mógł zmieścić. Po jakiejś chwili, rozejrzawszy się w sytuacji, zauważyłam, że nie jest to zwykły tłum, ale zorganizowany „ogonek”, zakręcony fantastycznie cztery razy w taki sposób, że osoby stojące w czwartym rzędzie o dwa kroki od upragnionego okienka, po jakimś czasie znajdują się na drugim końcu sali... Jestem właśnie koło okienka, w czwartym rzędzie. Wiem, co to znaczy i oglądam się za miejscem siedzącym. Szybko jednak porzucam to nieziszczalne marzenie: miejsce siedzących dla tego olbrzymiego tłumu jest najwyżej 20. Więc stoję.

I mimowoli rozglądam się i słucham.

Przed minutą byłam ostatnia. Ale teraz już poza mną stoi sześć osób. Bezpośrednio w moim sąsiedztwie pan ubrany z waszecia. Życzliwie wypytawszy, do kiedy mam termin, oznajmia, że mogę przyjść dopiero za dwa dni. Kiedy powiedziałam, że wolę tę rzecz dzisiaj załatwić, nie umiał ukryć pogardy, ani dla mojej lekkomyślności, ani dla braku uczuć społecznych: mam przecież procent opłacony na dalsze dwa dni i zabieram miejsce i czas tym, którzy dziś, ale koniecznie dziś muszą, a właściwie musieli już przed tygodniem, swój „zastaw załatwić” i przyszli prosić, klócić się, uragać. Niezrażony moją odmową, pan z waszecia zwraca się do innych. Poucza, radzi, tłumaczy, agituje. Niektórzy rzeczywiście wycofują się z szeregu, jedna babina z jakąś szczęśliwą miną, że jej jeszcze przez tydzień nic nie grozi i niekoniecznie musi dzisiaj na te dwa czy trzy procent dziennie pożyżyć, żeby opłacić „procent”.

Kobieta z dzieckiem na ręku, korzystając, że dzięki jegomościowi z waszecia wytworzył się towarzyski nastrój, prosi, żeby jej ustąpić miejsce przy okienku. Przecież każdy z nas straci tylko jedną kolejkę, tłumaczy! Jestem lekko zgorszona, że publiczność nie chce tego zrobić, dowiaduję się jednak, że jest to znana macherka, taka „od wyrabiania ogonka”, a dziecko jest pożyczzone. Natomiast inna kobieta z dzieckiem, która nie prosi o względy, zostaje bez protestu przesunięta na miejsce kogoś, kto się wycofał. Jest to dowód solidarności i nauka dla macherki!

Izraelita z mną zastawia 30 obrączek. Naturalnie, właściciel sklepu. Ale pani przede mną o dwa miejsca ma trzy obrączki, wcale nie na sprzedaż, tylko swoje i córek. Mężowskiej nie przyniosła, bo jest chory, a podobno to zły znak czyjaś obrączkę zastawiać. „Taki to niedługo pożyje”. A ona i córki właśnie na tę chorobę...

Pani obok mnie — zaraz się ruszymy i będzie ode mnie daleko! — ma srebrne sztuce...

Ale tu miesza się jegomość z waszecia. Czego ci państwo stoją w ogonku i miejsca ludziom zabierają? O tej porze numerki na zastaw dostaje się bez kolejki. Trzeba podejść do okienka z boku. Nie puszcza?! puszczą!

Rzeczywiście puścili. Po chwili jednak koło okienka robi się zamieszanie, bo ktoś niesolidny i niekoleżeński pod pretekstem wzięcia kartki pod zastaw podłożył prolongatę! Trudno! stało się! ci co stali koło okienka zapóźno zauważyli manewr. Ale co się nasłuchiwał, to się

nasłuchiwał. Zwłaszcza damy spokojnie i rzeczowo nazwały jego postępek, nie wyrażając zdumienia, że mógł się go dopuścić ktoś, kto ma tego rodzaju pokrewieństwa (nie wymieniam ich).

Przetasowanie sprawiło, że stoję teraz za młodą, sądząc z sylwetki, osobką, która uparcie odwraca twarz. Koło osobki kręci się niewiele co starszy od niej młodzieniec i stara się ją pocieszyć. Zdaje się jednak, że beznadziejnie, bo chusteczka ciągle podnosi się do oczu. Nie trzeba wiele domyślności, żeby zrozumieć, że osobka zastawiła coś dla owego młodzieńca bez wiedzy kogoś innego, że tego czegoś w porę nie opłaciła i teraz ma z tego powodu zmartwienie...

Patrząc na nią prawie mam ochotę ostrzec tę niemłodą panią, która w oczekiwaniu swojej kolejki (ma już numerki na zastaw) mówi o czymś kokietyrnie z młodszym od niej dżentelmenem. Dżentelmen jest za stary na jej syna i nie wygląda na męża. Łaskawie słucha jej szczebiotu, jak pewnie łaskawie zgodził się na zastawienie i może łaskawie przyjmie uzyskaną „pożyczkę”. Naturalnie na coś, co ma kiedyś stać się źródłem szczęścia dla obojga!

Ten młody człowiek znowu przyszedł zastawić zegarek dla niej i na nią.

Ale większość przyszła, bo chce i musi jeść. Jeżeliby ktoś miał wątpliwość, niech posłucha wysokości opłacanego procentu: pięćdziesiąt, dwadzieścia, szesnaście groszy... Od jakiego kapitału, od jakiego nędznego „dobra” może to być procent? A nieraz jest to procent od sumy prolongowanej...

Teraz dzięki ruchom ogonka w jednej linii ze mną stoi młoda para. Taka zadowolona, że aż rozmowna. Wykupują jej sukienkę i jego lepsze ubranie. Dostał posadę. Polepszyło im się.

Ta paniusia znowu ma „kombinację”. Ponieważ żądają od niej koniecznie spłaty, wykupi cały zastaw i zastawi z powrotem. Jutro.

Czy wie, że to jest rzecz niebezpieczna? Bo teraz coraz mniej daje... Paniusia, tak dumna z kombinacji, nieruchomieje. Jest niezdecydowana. Oddaje sprawę pod sąd fachowców. Co jej doradzą? Zdania są podzielone. Kombinacja w zasadzie dobra, w naszych niepe-wnych czasach przedstawia wielkie ryzyko...

Jestem teraz od niej daleko. Nie wiem co postanowiła. Może posłucha rady i spróbuje „prosić, żeby nie spłacać”?

Ci panowie muszą wykupić czarne ubranie brata, bo umarł. Potrzebne do trumny. Z boku ktoś szeptem jednak, że to „kant”. Brat

może umarł, ale napewno ubrania mu nie dadzą, tylko chcą wykupić, nim się reszta rodziny dorwie do działów...

Monotonny głos kasjera wywołuje numery. Kasjer jest człowiekiem cierpliwym. Powtarza numer dwa razy i dodaje kolor kartki.

Jestem przy okienku. Dostaję i ja numer. Teraz czeka mnie dalsze czekanie...

Zegar dawno wybił południe. Dziecko na rękę macherki, przywykłe do atmosfery lombardowej, śpi słodko. Dziecko na rękę tamtej, której ustąpiono miejsca (jeszcze wszystkiego nie załatwiła!) popłakuje cichutko. „Nic, przywyknie!” pociesza matkę sąsiadka.

Proroctwo zdaje się słuszne. Patrząc na wynędzniałą twarz matki, prawie nie mam wątpliwości, że małeństwo „przywyknie” do tych dziwacznych, zdawałoby się, wypraw. A kiedy już odrośnie od ziemi, jak ten oto brzdąc obok, samo będzie „załatwiać lombard”.

Młoda pani wciąż chowa twarz, chociaż pomyślnie załatwiła swoją sprawę. Niemłoda pani ma twarz zgaszoną: „on” nie jest zadowolony z uzyskanej sumy. Pyta: „nie masz nic więcej?”

Młodzieńcowi za to napewno starczy na kino dla „niej” i dla siebie. Młoda para ubierze się w swoje lepsze ubranie. Izraelita z obrączkami (na sprzedaż) zapłaci komorne albo podatek. Pani z obrączkami (pamiątkowemi) zapłaci doktora i lekarstwo. Reszta? kupi chleba, da coś gospodarzowi a konto, lub ostatnimi groszami usunie niebezpieczeństwo straty fantu...

Godzina jest dziesięć minut po pierwszej. Ogonek przy kasie zakręcony już tylko dwa razy... Na twarzy stałych bywalców wyraz cierpliwości, której się tu nauczyli, jeżeli bieda nie nauczyła ich jej przedtem.

Na twarzach tych, którzy przyszli po raz pierwszy, trwożliwe pytanie: czy zdążą załatwić przed zamknięciem okienka?

Zofja Popławska.

Powrót

— Strasznie się cieszę żeś przyjechała! Stęskniłem się za tobą — mówił dwunastoletni Jacek, uwieszony na szyi matki.

— Ja także, synku. Ale dziś już przyjechałam po ciebie. Jutro wracamy do domu. W poniedziałek zaczynają się szkoły.

— Tak, wiem, przyjdę pomóc ci w pakowaniu — odpowiedział chłopiec z doskonałą obojętnością, świadczącą, iż myśl jego pracowała w zgoła innym kierunku — a teraz pozwól, pobiegnę do stajni, bo będą płać konie.

I już go nie było. Naturalnie przy pakowaniu waliz nie współdziałał: owszem, przycisnął wieko kolanem z poczuciem ważności dokonanego dzieła, ponieważ domknąć walizy było trudno.

A matka przez ten czas mogła spokojnie rozejrzeć się w grozie sytuacji i uświadomić sobie czekającą ją nowe kłopoty i wydatki. Garderoba, tak skrzętnie i z wysiłkiem skompletowana przed wyjazdem na wieś, przedstawiała się rozpaczliwie. Jakie szczęście, że ojciec kazał mundurek, w którym chłopak składał egzaminy wstępne do gimnazjum, zostawić w domu. Inaczej pewno nie byłoby w czym pójść do szkoły, i to, do nowej szkoły. Ale mimo wszystko, poważna ilość wydatków jeżyła się na wstępie! Czapka gimnazjalna, pierwsza w życiu, znaczek szkolny, tarcza. A buty, nieszczęsne buty, w ciszy ubolewające nad własną krzywdą, w których na bruku miejskim trudnoby się było pokazać. Potem książki, zeszyty, a wpis szkolny. I na domiar dwa tygodnie dzielące znów od zbawczego „pierwszego”. Trudno porównać, czy troski przedwyjazdowe były większe, czy też kłopoty, towarzyszące powrotowi. I pewno chłopak będzie w dodatku rozgoryczony i zmartwiony.

Godziny dzielące od wyjazdu minęły szybko na przygotowaniach. Zdumienie matki nie miało granic, gdy spostrzegła, że pożegnanie chłopca czułe i serdeczne ze wszystkimi, bo i z ludźmi, i z inwentarzem, z domem i otoczeniem było jednak zupełnie pozbawione sentymentalizmu i łez. Chłopak wyjeżdżał pełen sprężystości i radości życia na spotkanie nowych wrażeń, nowych warunków bytu, których był ciekaw, bo obiecywały mu odmianę codzienności. Czuł w sobie dość sił na zwalczanie nieuchronnych przeciwności, a nowych emocyj żądny był, jak zmiany pożywienia.

Matka ten nastrój przypisywała towarzystwu rówieśników, którzy razem opuszczali gościnny, dworski pensjonat i wspólnie powracali do miast.

Dopiero w wagonie, gdy każdy obrót kół systematycznie zwiększał odległość, dzielącą chłopca od pozostawionego środowiska i od chwil serdecznej rozłąki, matka odważyła się sformułować pytanie:

— Żal ci, synku, wsi, żal ci wakacyj? Pewno byłbyś jeszcze chętnie pozostał te dwa tygodnie we dworze?

— Żal, ale wiesz mam, to dziwne, że choć mi żal wsi, to nie czuję przykrości wyjazdu! Bo się nauczywałem, ale już! Mam, takich wakacyj nie miałem nigdy, ani w

Konstancinie, ani w Sulejówku, ani nawet nad morzem. Tu miałem szczerą wieś i użyłem jej dosyć! Koni, pola, sadu, zajęć przy gospodarstwie, kąpieli, sportów! To jest życie! I pewno dlatego nie przykro mi wyjeżdżać, że wszystkiego sam popróbowiałem, bo mi chętnie pokazywano. Lubili mnie tu wszyscy. I przecież mogę tu wrócić. Więc pewno dlatego mi nie przykro, bo się nie pożegnałem, a tylko rozstałem na czas zimy. A teraz mam ochotę pracować!

I tu dwunastoletni tytan, przepelziony pogodą ducha i radością wewnętrznej harmonii, rozprostował szerokim ruchem swe pięćdziesięciocentymetrowe „bary”.

— W domu nie będziesz miał tej przestrzeni do hasania.

— A wiesz, mam, że po tej rozłące to i dom będzie dla mnie nową przestrzenią. Zaraz oblecę wszystkie kąty.

— Przygotuj się na to, synku, że ci się ta przestrzeń na pewien czas bardziej jeszcze zacieśni. Będziemy odnawiać całe mieszkanie.

— Cze! A to pycha! Klawo! — wybuchnął z entuzjazmem niepokonany optymista. — Jakże ci dziękuję, żeście nie zrobili tego, kiedy mnie nie było!

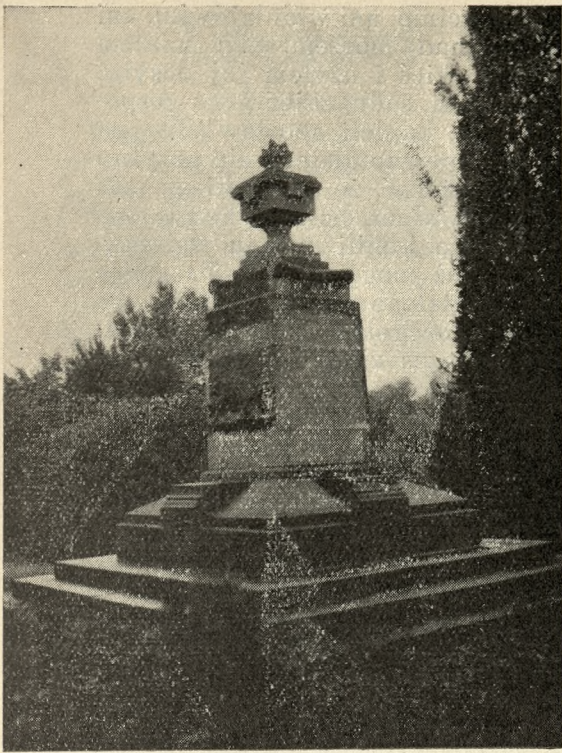
— Chłopak jest zdrow moralnie i fizycznie. Potrafi instynktownie stworzyć sobie właściwą podstawę do życia — powiedział ojciec, patrząc z radością na chłopca. — Wakacje Jacka się udały. Wypląciły stokrotnie poniesione przez nas wysiłki finansowe. Dzielnym jest chłopak, zapowiada się na człowieka czynu. Jest uczuciowy, a niema w nim sentymentalizmu. Jest żywiołowy, lecz potrafi sam nałożyć sobie hamulce, a potrzeba pracy, na równi z potrzebą rozrywki przenika do jego świadomości, jako nieodzowne wypełnienie życia.

— Ale, gdyby nie te wakacje, nie siedziałby on z taką radością do szkoły i nie cieszyłby się zdemolowaniem mieszkaniem — dorzuciła z uśmiechem matka.

— I słusznie. Wtedy czułby się sprawiedliwie pokrzywdzony. Ale przecież są dzieci w lepszych od niego warunkach, które zawsze z grymasem poszkodowania powracają do swych obowiązków.

— Jacek jest normalnym dzieckiem. W nim zawsze przychodzi do głosu miara dosytu. I to jest najważniejsze. Obyśmy potrafili zachować mu tę zdolność natury i nie wypaczyli jej wychowaniem. A z pewnością wtedy i w wieku dojrzałości Jacek potrafi uchronić się od wielu przykrych przeżyć i rozczarowań, a co najważniejsze od przesyty, który jest może jednym z najzaciętszych wrogów usposobienia ludzkiego.

Marja Ankiemiczowa.



Pomnik ku czci poległego w powstaniu 1863 r. włocho, Stanisława Becchiego.

Budujące się miasto

(Włocławek).

Wisła rwał szalony, brudny nurt wody, niosąc na sobie płyty piany, kupy słomy i siana, oraz gałęzie i bliżej nieokreślone odłamki.

Cały czas płynęliśmy na czele wielkiej fali powodziowej, która miała przepelnić koryto Wisły na 6 metrów ponad normalny poziom i wylać na szerokiej przestrzeni, zamieniając pola i łąki w mętne, przejmujące grozą rozlewiska.

We Włocławku zastaliśmy to samo, co we wszystkich przybrzeżnych miejscowościach: wzdłuż bulwarów tłumy ludzi, przyglądających się rzece. Wielkie berlinki czekały na ładunek. Pytam, cóż będą brać z takiego Włocławka?

— Zboże — powiada z urazą zagadnięty. No, bo i jakże: „z takiego Włocławka...”

W samej rzeczy, wzdłuż nadrzecznego bulwaru szereg śpichlerzów wielkich, masywnych gmachów, wytrzeszcza na przechodnia tysiąc oczodołów swych małych okienek. Przed śpichlerzami stoją sznurem furmanki, naładowane żytem. Nie trzeba zapominać, że tylko w ubiegłym roku wywieźliśmy żyta za 39 milionów złotych, z czego same Niemcy wzięły za 17 milionów. Za-

glądam do jednego ze śpichlerzów: ściany blisko metrowej grubości, belki w powale potężne, rdzenne, zdrowe, przetrwały bez śladu sto, a może i więcej lat. Na podłodze kupka żyta i druga seradeli, kilkanaście wypełnionych worków, i to wszystko.

Stary robotnik, który pracuje tu już 40 lat, ma pochyle barki, skórę

— Dawniej było inaczej — powiada z rozmysłem. — Jak po żniwach zaczęto zwozić zboże, to cały śpichlerz, wszystkie trzy piętra zawalili doszczętnie. Dziś wprost z wozów ładuje się na berlinki...

— W jaki sposób się ładuje? — przerywam.

— Ludzie noszą. Żyd płaci po dziesięć groszy od worka. Dobrze



Fara we Włocławku.

na twarzy brunatną i mocno obciążającą kości policzkowe. Pod nią wyraźnie przebija sieć niebieskawych żyłek, płaczących się czasami w gruzły i węzły. Zaczzerwienione oczy patrzą beznamiętnie na ludzi i ich sprawy. Typowy weteran pracy, któryby chciał jedynie bez troski o jej ciągłość dożyć kresu dni swoich.

jeszcze, jak woda duża, to aby przejdzie przez bulwar, potem po kładce i wzdłuż berlinki; ale jak woda mała, to do berlinki czasami i ze 100—200 metrów po jakichś tam pomostach i kładkach...

Przymierzam w myśli stukilowy wór na barki, oceniam odległość i powiadam:

— Mało płaci...



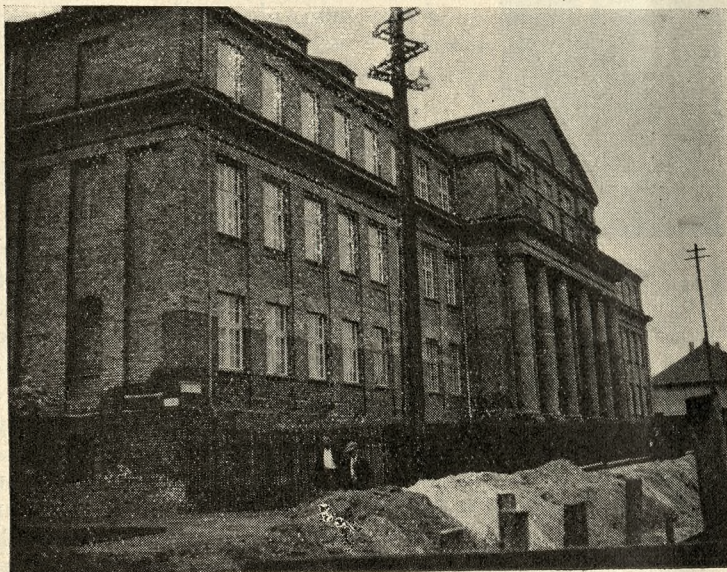
Rynek we Włocławku.

— Ach, żebyż i tej roboty dosyć było, to zabijaliby się o nią, ale ci robotnicy więcej chodzą, wyczekując na sposobność do pracy, jak pracują.

Idą właśnie po wąskiej kładce gęsiego, jak kulisi, jak tragarze w puszczy afrykańskiej, niosąc wór na grzbiecie. Kładka ugina się, chwieje nad brudnym odmetem. A

U nas ładują taką berlinkę kilka dni, a w Gdańsku postawią pod elewator i w ciągu paru godzin nie tylko ją wypróżnią, ale i zboże oczyszczą ze wszelkiego śmiecia i kurzu — gada stary, zapalając fajkę.

Od rzeki nadchodzi młody robotnik i zwraca się do niego:



...powstają olbrzymie bloki szkolne...

potem balansowanie wzdłuż mokrej po deszczu berlinki, każdy nieostrożny krok grozi runięciem. Przy otworze, którego zsypuje się zboże, stoi człowiek. Ten, który nadchodzi, pochyla się i puszcza prawą ręką rozwiązany otwór worka: zboże szeroka, krótka, gęsta fala wytryskuje z gardzieli wora, a już opróżniony, chwytają w powietrzu dwie pary rąk. Tragarz odchodzi po następny ładunek, podczas gdy robotnik składa wór na kupie innych obok otworu.

— Przed chwilą dwóch chłopaków utonęło...

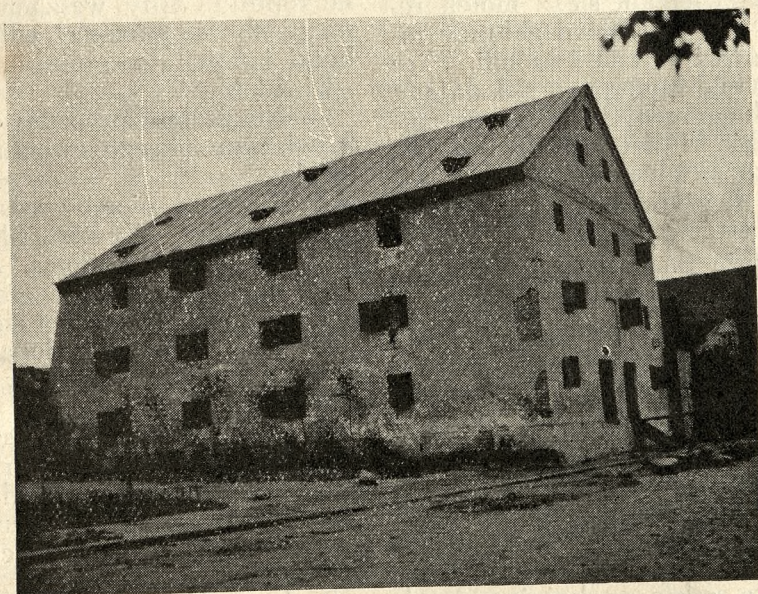
Stary podnosi na niego wyblakłe oczy.

— A gdzie to?

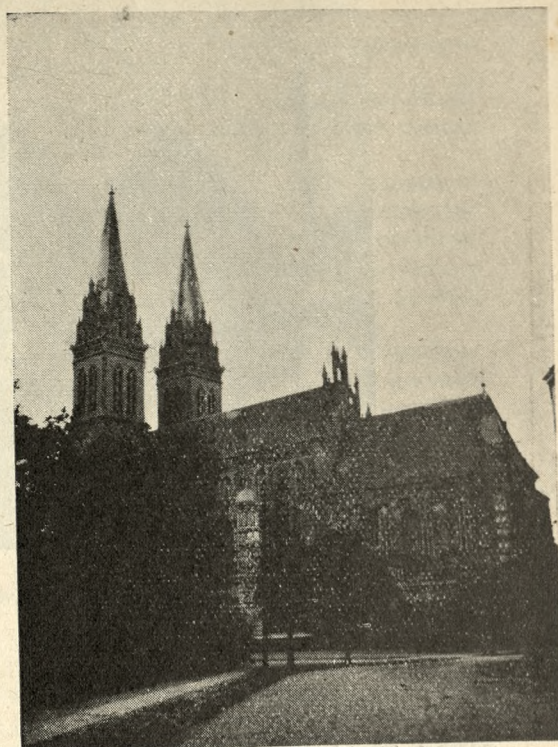
— Łódka wywróciła się i wpadła pod tratwy. Gdzie tu przy takiej wodzie ratować?

* * *

Włocławek jest rozległym miastem, posiada parę ładnych kościołów, muzeum, otwarte jednak tylko 3 razy w tygodniu, dwa pomniki



Stary spichlerz we Włocławku.



Katedra we Włocławku, założona w 1340 roku.

(jeden, bardzo szablonowy, Marszałka Piłsudskiego, drugi, skromny acz gustowny, ku czci płk. Beczkiego, Włocha, który w powstaniu 1863 r. walczył za wolność Polski), wcale ładny park i parę skwerów miejskich. Jeden z nich powstał na miejscu cerkwi prawosławnej, którą Rosjanie dźwignęli w sercu miasta, zupełnie jak w Warszawie. I gdyby nie pomysłowość ludzi, dbających o polski wygląd starego, kujawskiego grodu, cebulaste kopuły cerkiewne do dziś dnia przypominałyby o minionej niewoli.

Jest tu też okręgowa elektrownia, kujawska, wielka fabryka celulozy, co w połączeniu z prowadzonymi na szeroka skalę robotami magistrackimi przy zakładaniu wodociągów sprawia, że bezrobocie wybitnie się zmniejszyło.

Chlubą Włocławka jest znaczna ilość wszelkiego rodzaju zakładów naukowych, już istniejących, oraz niedawno wybudowanych. Zwłaszcza imponuje rozmiarami cały kompleks olbrzymich gmachów, zajmujących przestrzeń między czterema ulicami. Powyżej tego bloku powstała cała nowa dzielnica mieszkaniowa. Domy wyrastają jeden po drugim, jak grzyby po deszczu. Jest to tembardziej dziwne, że mniejsze miasta prowincjonalne naogół nie odczuwają głodu mieszkaniowego.

Tu jednak jest inaczej i ten ożywiony ruch budowlany pozwala snuć lepsze nadzieje na przyszłość.

Natomiast fabryka maszyn rolniczych stoi nieczynna, szczerząc na



Stare domy na rynku we Włocławku.

ulicę wyłamane zęby szyb. Jej głuche milczenie, jej wygląd jest jak gdyby odzwierciedleniem stanu, w jakim w obecnej chwili znajduje się całe rolnictwo. Nie trzeba tu dowodzić, że od poprawy jego sytuacji zależy zmniejszenie się przesilenia gospodarczego w Polsce. Jak wiemy, zwyczajka cen na zboże na całym świecie, częściowy nieurodzaj u nas w kraju, oraz klęska powodzi, jaka dotknęła ogromne połacie Polski, niszczyć całkowicie zbiory na

dziesiątkach tysięcy hektarów, spowodowały wzrost cen na produkty rolne, co jednakże będzie ulgą tylko dla rolnictwa, klęską tą nienawiedzonego. Powodzianie i bezrobotni odczuwają wzrost cen zboża bardzo boleśnie.

Zwiedzając Włocławek, niesposób pominąć katedry, której dwie wieże dominują nad miastem. Mieszkaniec Włocławka z dumą pokaże na ścianach katedry kompas, podobno dzieło Kopernika, wykutą w

kamieniu mapę dawniejszej i dzisiejszej diecezji włocławskiej oraz wmurowane na wieczną rzecz pamiątkę gilzy od pocisków, jakimi bolszewicy w pamiętnym roku 1920 zasypywali kościół i miasto, czyniąc wiele szkód.

Kościół, założony w r. 1340 przez biskupa Macieja Golańczewskiego, nosi na sobie ślady licznych przebudówek. Być może jestem profanem, ale wydaje mi się, że jego nowe wieże, zbudowane w latach 1882—86, nie pasują, że kłócą się ze znacznie starszą i dostojniejszą całością.

Ale wewnątrz katedry częściowo naprawia to wrażenie. Panuje tu niepodzielnie głęboki, chłodny, strzelisty mrok i spokój. Przez wysoko położone, wielkie witraże, sączą się barwne smugi światła i mimowoli myśl zwraca się ku minionym dziejom świątyni. Za kilka lat minie sześć wieków od dnia, kiedy mury kościelne stały się niemymi świadkami doli i niedoli, przetaczającej się nad Kujawami. Toć katedra była łupiona przez Krzyżaków, potem przez Szwedów i Prusaków, aż wreszcie przed 14 laty, burza wojenna ponownie nadciągnęła nad płowe wody Wisły, a wówczas katedra raz jeszcze, od niepamiętnych lat, patrzyła na ostry triumf prawych włodarzy tej krainy.

Jerzy K. Maciejewski.

Szkoła wychowania dla młodzieży bezrobotnej

Państwowy Urząd Pośrednictwa Pracy dla młodocianych mieści się od niedawna na placu Żelaznej Bramy nr. 2. Wchodzę do dużej, widnej sali. Na ścianach wiszą rozmaite sentencje. Wzdłuż ścian stoją ławy, na których siedzi młodzież męska w wieku od lat 15-tu do 20-tu. Wszyscy są ubrani biednie, ale schludnie i porządnie. Na wytartych ubraniach nie zauważyłam ani jednej dziury, chociaż liczne łaty świadczą o ciężkim położeniu materialnym.

Niektórzy chłopcy rozmawiają półgłosem, inni czytają gazety lub książki. Pozostali siedzą beczynnie, spoglądając przed siebie obojętnym wzrokiem. Widząc mnie wchodzącą, chłopcy wstają i witają mnie grzecznym „dzieńdobry”.

— Nie dlatego, że spodziewają się widzieć w pani ewentualną pracodawczynię — tłumaczy p. Jurczykowski, wieloletni kierownik P. U. P. P. dla młodocianych. — Chłopcy wiedzą, że należy być zawsze grzecznym dla każdego!

Dziwi mnie, że nie słyszę wymysłów i krzyków. Cisza, panująca w poczekalni sprawia na mnie do-

datnie wrażenie. A przecież małoletni, poszukujący pracy, rekrutują się przeważnie ze środowisk, w których nie nauczono ich zachowywać się odpowiednio!

— Wszelkie braki wychowania domowego stara się uzupełnić Giełda Pracy — uśmiecha się kierownik, któremu zwierzam się z moich refleksyj. — Początkowo chłopcy niszczyli ławki, bili się i kłócili. Więc ustaliłem sąd honorowy, składający się z nich samych. Sąd ten rozstrzyga wszelkie kłótnie, zatargi i wydaje bardzo surowe wyroki. Często muszę je łagodzić, chociaż z zasady stoję po stronie sędziów.

Interesują mnie kary, jakie narządza sąd honorowy.

— Najmniejsza polega na wezwaniu rodziców — tłumaczy p. Jurczykowski. — Najwyższą karą jest odebranie legitymacji na pewien czas. Np. za zaczepianie dziewcząt.

Prawda! Przecież młodociani bezrobotni nie rekrutują się tylko z chłopców! Duży odsetek stanowią dziewczęta!

— Są o wiele spokojniejsze od chłopców — mówi kierownik. — To

też sąd honorowy niema z niemi wiele kłopotu.

Sala dziewcząt mieści się obok sali chłopców. W dużym, widnym pokoju stoi szereg małych stolików i krzesełek. Na oknie uśmiecha się jakaś doniczka z kwiatami. Dziewczęta przeważnie robią ręczne robótki. Gdy weszłam na salę, podniosły się z krzeseł, odłożyły robótki i powitały mnie uprzejmym „dzieńdobry”.

— Nie jestem pracodawczynią — rozwiemam od razu ewentualne nadzieje.

Z niejednej piersi wydostaje się westchnienie. Wysoka blondynka kiwa ze smutkiem głową.

— Już drugi tydzień czekam na pracę — usprawiedliwia się.

Do sali wchodzi młoda dziewczyna i starsza kobieta w chustce na głowie.

— Moja koleżanka ze szkoły — objaśnia blondynka. — Przyszła z matką zapisać się na giełdę pracy. Nasz kierownik nie rejestruje nikogo bez pozwolenia rodziców lub opiekunów.

P. Jurczykowski jest całą duszą oddany ukochanej placówce. Opo-

wiada mi ze smutkiem, że dotychczas przy P. U. P. P. istniała poradnia psychotechniczna, którą z braku funduszy niedawno zniesiono.

— Niezmiernie nam to utrudnia pracę — wzdycha — bo młodzież niezawsze jest wstanie sama zorganizować się w swoich zamiłowaniach i uzdolnieniach. Chłopcy pragną przeważnie otrzymać miejsce metalowców, dziewczęta marzą o posadach ekspedjentek lub biuralistek, a potem okazuje się, że nie mają ku temu żadnych zdolności.

Do kancelarii wchodzi 16-letnia dziewczyna z matką. Pokazuje papiery, świadczące, że skończyła 4 oddziały szkoły powszechnej.

— Moja córka chciałaby iść na ekspedjentkę — oświadcza starsza kobieta.

Patrzę na bezmyślną twarz dziewczyny, słucham jej nierozgarniętych odpowiedzi. Kierownik prowadzi z nią szczegółową rozmowę. Każe sobie opowiedzieć cały życiorys, poddaje lekkim egzaminom z rachunków.

— Surogat badań psychotechnicznych — rzuca półgłosem w moją stronę.

Poczem zwraca się łagodnie do kandydatki.

— Nie nadajesz się na ekspedjentkę. Nie dasz sobie rady. Lepiej wziąć zajęcie pomocnicy domowej.

Dziewczyna czerwieni się. Matka oburza.

— Dawniej nie było przymusu szkolnego, dziecko siedziało w domu, pomagało rodzicom, uczyło się gospodarstwa! — woła — a potem szło na służącą. Teraz Państwo każe mu chodzić do szkoły, to niech da mu posadę!

Nie pomagają żadne perswazje i tłumaczenia.

— Albo na ekspedjentkę, albo nic. Na służbę sama ją poślę, jak chcesz!

Po wyjściu rozzłoszczonej kobiety, na biurku kierownika odezwał się dzwonek telefoniczny. Firma X. prosi o przysłanie chłopca na posyłki. Kierownik informuje się, czy posada jest stała, czy czasowa, czy kandydat ma przed sobą przyszłość i jakie wynagrodzenie go czeka.

Warunki okazują się mało zachęcające. 20 zł. miesięcznie, bez żadnej nadziei wybiecia się, bez możliwości nauczania fachu...

— Kandydatów mamy bardzo wielu, ale nie dam zdolnego chłopca na zmarnowanie — twierdzi.

O ile jednak wakuje w fabryce miejsce pomocnicze, kierownik namawia kandydata lub kandydatkę, aby zgodził się nawet za małe wynagrodzenie.

— Nauczysz się fachu. Otwiera

się przed tobą przyszłość — zachęca.

I przeważnie udaje mu się przekonać opornego.

— Giełda pracy dba nie tylko o dostarczenie zajęcia zarobkowego, ale i o wykwalifikowanie pracownika — tłumaczy. — Niewykwalifikowani robotnicy są ciężarem dla społeczeństwa i dożywotnim konsumentem świadczeń społecznych.

Kierownik opiekuje się nie tylko młodzieżą, która otrzymała już zajęcie, lecz dba, aby pracodawcy byli z nich zadowoleni.

— Otrzymałeś pracę, pracuj uczciwie — żegna każdego, kto opuszcza progi domu przy Żelaznej Bramie.

Odwiedza warsztaty pracy, zatrudniające młodocianych pracowników i bezapelacyjnie każe usuwać leniwych i niesumiennych.

25% ze zgłaszających się na giełdę pracy odpada z powodu złego odżywiania, słabego zdrowia, nieukończenia lat 15-tu. Z pozostałych zaledwie 20% otrzymuje zajęcie. Reszta czeka...

Za dobre sprawowanie w P. U. P. P. młodzież otrzymuje nagrodę, w postaci bezpłatnych biletów do kin, do ogrodu zoologicznego, do kąpieli.

Rozporządzenia kierownika przyjmowane są przez młodzież bez szemrania. Wie ona, że p. Jurczykowski dba o ich dobro. To też otaczają go sympatją, zwierzają mu się ze swoich trosk i zmartwień i nawet po otrzymaniu zajęcia, utrzymują z nim stały kontakt.

St. Osińska.

Kącik radiowy

ROZMOWA ANTEN

Antena I: Noc już głęboka... z wysokości piętér oglądam uśpione miasto, tak jak co noc... jak co noc... i nie znużyły mi się do tej pory te godziny, w których jak w tajemniczym filmie oglądam obraz — „Noc w mieście”... Rzędy gazowych lamp z conocną modlitwą zielonych, drgających świateł, zakonne i nieme. Samotne, świecące uśpionym ulicom tramwaje, widowisko nocnego stróża, bezsenności brzemień. Cychające koślawe zaułki starych dzielnic... Tajemnica milczących ulic w ciszy się otwiera... Po nich, z nieodstępnym krzywym, chudym cieniem, biegnie z tłumionym spazmem krzyku zielona chimera... Wszystko jest i jakieś nieprawdopodobne... Nawet ja sama...

Ale zdaje mi się, że moja przyjaciółka skończyła także swą pracę. Hallo!

Antena II: Hallo?

Antena I: Czy już skończono?

Antena II: Tak, przed chwilą; w głowie mam jeszcze zamęt melodyj i chaos słów...

Antena I: Dziś pracowaliśmy dłużej niż zwykle, prawda?

Antena II: Czyż zapomniałaś, że dzisiaj sobota, a w sobotę zawsze do późna słuchają... Jestem bardzo zmęczona...

Antena I: I ja też. Opadają mi ze znużenia ramiona... A jednak jestem szczęśliwa... jestem nerwem zrealizowanego cudu, płonę z uniesienia... Pomyśl.

Antena II: Co? Antena mówi o cudzie? Jak ci nie wstyd? Cóż tu jest cudem? Cewki, kondensatory, lampy żarzenia. Marconi ma być według ciebie objawicielem nowej prawdy? Ha, ha! A ty sama nerwem zrealizowanego cudu?... Ach, byłaś zawsze nastrojona na nutę poetyckich bredni! Dzisiaj, w epoce wyścigu pracy jesteś tylko jednym z narzędzi, prowadzącym dalej pracę radiostacji i musisz do brze się wysilać, bo inaczej zmienią cię na inną.

Antena I: Nie mów tak... dlaczego jesteś taka niedobra?... każde twoje słowo boli. Zapominasz o tem, że ja nie jestem tylko narzędziem pracy, bo ja... mam... duszę... duszę! Rozumiesz to?

Antena II: Duszę?

Antena I: Tak! Nie jestem kawalkiem drzewa! Jestem duszą wszystkiego, cokolwiek przeżywam! Jestem pieśnią, jestem symfonią muzyki, jestem poezją! Jestem jeszcze pociechą dla tych wszystkich, którzy wykonują swą codzienną pracę, przędą swój szary dzień, i dzięki mnie wzbogacają się o jeden uśmiech, o jedną godzinę ukojenia, a może czasem o jedną godzinę zapomnienia tego, co boli... Wiesz, kiedy o tem pomyślę, jestem szczęśliwa...

Antena II: I przypuszczasz, że „oni” tak samo myślą o tobie? O, moja droga, jestem pewna, że nie szczędzą ci często złorzeczeń, albo nie myślą o tobie wcale, he-roino z dachu!

Antena I: Może czasem nie zdają sobie z tego sprawy, ale jest mi to obojętne. Ja żyję świadomością tego, że mogą pomieścić w sobie świat cały, że ten świat ludziom przybliżam i chcę ich samych przybliżyć do siebie. Nasłuchują w ciszy, kiedy przepływają przezemnie wszystkie fale świata, czy nie wyłowią z eteru tej jednej, nieznannej, niewiadomej fali... TAJEMNICY...

Antena III: Czy słyszysz, jak te dwie z dachu białego domu, z tego wytwornego dachu mądrze rozprawiają?

Antena IV: A tak, to antena tego szalonego poety i adwokata, o którym nawet dozorca mówi z szacunkiem.

Antena III: Co nas to zresztą obchodzi? Niech sobie gadają, mam ci co innego do powiedzenia...

Antena IV: Co, co, mów przedko!

Antena III: Wiesz, ten kominiarz, co tu stale przychodzi, to „się ma” do tej kucharki z czwartaka.

Antena IV: Co ty mówisz? Ten zamorusaniec?

Antena III: Słyszałam dziś na własne uszy, jak mówił: „Ja, trzeba wiedzieć, pannie Marjannie, jak czyszczę kominy, to uważam wedle kuchni panny Marjanny, i ten czyszczę na glanc”.

Antena IV: A ona co? A ona?...

Antena III: Z godnością odpowiedziała, że „nawet, grzeczny z pana Macieja kawaler, choć tego... hi, hi, i kominiarz do ludzi niepodobny”.

Antena IV: To ci dopiero, to ci dopiero! ha! ha!

Antena III: Wkońcu się umówili, że po nią przyjdzie. Powiedziała mu, że w niedzielę państwo wyjeżdżają, radio jest, antena (to niby ja) w porządku, muzyczki posłuchamy, przy muzyczce to i serce, serce zrozumie...

Antena V: A ja pilnuję domu pończoszarki. To biedna, młoda dziewczyna. Do późna wieczorem ze słuchawkami na uszach pracuje. Igła miga w jej ręku, łapie oczko za oczkiem jedwabnej pończochy. Czasem westchnie, czasem się uśmiechnie...

Antena VI: Mój profesor często mówi o niej, wiem o tem, bo należą do jego mieszkania. Ma żonę chorą, lecz ta, nie uwierzcie chyba, wynajduje zawsze najweselsze programy, i chociaż pilnuję mieszkania chorej, nazywacie mnie przecież „wesolą anteną”.

Antena VII: Wiecie, ciekawi mnie jedno: Dlaczego ilekroć „ci” z przeciwka, słuchają radja, to zamykają okno i zasuwiają story? To dziwne.

Antena VI: Dziwne? Nic w tem dziwnego, poprostu radjopajęczarze, wstyd mówić o tem!

Antena VII: O, o, ty to zawsze wszystko wiesz. Wobec tego, powiedz, co jest w tamtym ogrodzie, bo od ciebie dobrze widać drzewa i mur. Nie mogę tam zajrzeć, a taka jestem ciekawa!

Antena VIII: O, to już do mnie należy, tam jest moja szkoła, dzieci bawią się w tym ogrodzie i często wynoszą głośnik pod drzewa, aby przy muzyce mogły gimnastykować się i śpiewać... Ile to wtedy wesela! Ja sama, choć mi w uszach dzwoni muzyka, zaśmiewam się

wraz z niemi, lecz staram się nie drgnąć, bo bym przy poruszeniu popsuła zabawę trzaskaniem i brzęczeniem w głośniku. To moje najmiłsze godziny!

Antena I: Słyszysz? Słyszysz? Czy dalej będziesz twierdzić, że nie mamy duszy, my anteny na spadzistych dachach? Przecież my „z nimi” przeżywamy życie...

Hen.

Zmiany w planie Loterii Państwowej

W dniu 16 sierpnia r. b. odbyła się konferencja, na której Dyrektor Loterii Państwowej, płk. Stanisław Markus, zaznajomił przedstawicieli prasy z zasadami nowego planu nadchodzącej 31-ej Loterii Klasowej. Plan ten stanowi dalszy etap w zapoczątkowanych przez Dyrektora Markusa reformach, które tak znacznie wzmogły w społeczeństwie zainteresowanie sprawami Loterii, i idzie w całości po linii życzeń, wyrażanych przez liczne zastępy graczy, którzy dbają o to, by wygrać, wysokość zaś wygranej mniejszą dla nich odgrywa rolę.

Tak więc przede wszystkim na uwagę zasługuje fakt znacznego powiększenia ilości wygranych, zarówno w cyfrach absolutnych, jak i stosunkowych. Poniższa tabela uwidoczni wyraźnie zachodzące pod tym względem różnice w planie 30-ej Loterii, w porównaniu z 31-ą

	30-Loterja	31-a Loteria
klasa I	12.080	16.000
„ II	9.100	10.000
„ III	6.140	10.000
„ IV	49.209	68.039
Razem	76.529	104.039

Jeżeli zważymy, że ilość emitowanych losów wynosi 180.000, to cyfra 104.039 przewyższa znacznie połowę tej liczby, powiększając jednocześnie znakomicie szanse graczy.

Tę możność zwiększenia szans, bez uszczerbku dla interesów Skarbu, które są przecież zbiorowym interesem wszystkich obywateli, osiągnięto dzięki pewnym zmianom w ustalaniu wysokości poszczególnych wygranych. Bardzo liczne głosy zwolenników Loterii wypowiedziały się, mianowicie, za skasowaniem zbyt wielkich wygranych w poszczególnych klasach i utworzeniem na ich miejsce większej ilości mniejszych. Głosy te wychodzą z założenia, że większą wartość przedstawia dla gracza wzmoczenie się jego szans wygrania np. 100.000 zł., aniżeli problematyczna szansa

wygrania np. 300.000 zł.; dlatego pożądanę jest raczej wyznaczenie 3-ch wygranych po 100.000, nie zaś jednej trzystutysięcznej.

To założenie zostało w nowym planie 31-ej Loterii w całości uwzględnione. W klasie 1-ej (jak zresztą i w pozostałych klasach) skasowano zupełnie wygrane po 15.000 zł., natomiast zwiększono ilość wygranych po 5.000 zł. o pięć, po 500 zł. również o pięć, po 400 zł. o dziesięć. W klasie drugiej „rozparcelowano” wygraną 200.000 zł. na dwie po 100.000 zł., a nadto zwiększono ilość wygranych: po 10.000 o pięć, po 5.000 o dwie, po 1.000 zł. o pięć, po 250 zł. o trzydzieści. Podobnie w klasie III-ej wygraną 300.000 podzielono na trzy wygrane po 100.000 zł. oraz zwiększono ilość wygranych: po 50.000 zł. o jedną, po 20.000 o dwie, po 10.000 o siedm, po 5.000 o pięć po 1.000 też o pięć, po 500 o dziesięć. W klasie IV-ej uwzględniono życzenia zwolenników dużych wygranych, pozostawiając największą atrakcję Loterii — 1 milion złotych. Natomiast, kasując wygrane po 250.000 i 150.000 zł., powiększono ilość wygranych po 100.000 o trzy, po 50.000 o pięć, po 10.000 o trzydzieści, po 5.000 o dwadzieścia i po 500 zł. (t. zw. wygrane pocieszenia) o dwieście.

Zupełną nowością jest wprowadzenie do wszystkich klas wygranych po 50 zł., które po potrąceniu przepisowych odsetek stanowią będą cenę losu do klasy następnej. Dawniej, gdy ktoś wygrał stawkę i chciał grać nadal, musiał wykupywać nowy los i płacić za wszystkie poprzednie klasy. Począwszy od 26-ej Loterii, dzięki powrotowi losów do koła, można grać dalej, płacąc tylko cenę normalną 10 zł. za ćwiartkę, różnicę zaś zachować dla siebie.

System ten został utrzymany, ale oprócz tego wprowadzono nowy typ wygranej, umożliwiający bezpłatną grę w następnej klasie.

Te 50-cio złotych wygrane będą w pierwszych trzech klasach rozlosowywane normalnie, natomiast w klasie IV-ej rozlosowywać się je będzie w ciągu ostatnich sześciu dni, a więc począwszy od 12-go dnia ciągnięcia. Wygrane te nie wywierają wpływu na wylosowywanie miliona złotych, który nadal przeznaczony będzie temu numerowi, na jaki w ostatnim dniu ciągnięcia IV-ej klasy padnie pierwsza wygrana 200 zł.

Wygrane pocieszenia po 500 i 2.500 zł. przyznawane będą w IV-ej klasie tym wyłącznie numerom losów, na które w ciągu całej loterii nie padła żadna wygrana.

W zakończeniu Dyrektor Markus raz jeszcze podkreślił, że kolekto-

rom nie wolno żądać jakichkolwiek dopłat do normalnych cen losów, poza zwrotem kosztów porta, o ile los został graczowi przesłany na jego żądanie. Nie wolno też dokonywać żadnych potrąceń, poza ustawowymi 20%, t. j. piątą częścią wygranej. Kolektor jest wynagradzany przez Generalną Dyрекcję Loterii i musi się tem zadowolić.

Co się zaś tyczy akcji pomocy ofiarom powodzi, to naszkutek wezwania Dyrektora Markusa, stanęli do apelu kolektorzy Loterii Państwowej, składając liczne ofiary, sięgające kilkuset, do tysiąca złotych.

Z teatrów

„Kochankowie“, Grubińskiego w teatrze Kameralnym.

„Kochankowie“ idą w Kameralnym bodaj już 50 razy. Co pociąga publiczność w tej sztuce? Temat, jego przeprowadzenie, czy gra artystów? Temat jest niewątpliwie zarówno pociągający, jak niebezpieczny. Młody człowiek, wychowany bez matki, pozbawiony ciepła kobiecej ręki, spotyka w Paryżu kobietę w wieku balzakowskim, piękną, wyrafinowaną i zakochuje się w niej bez pamięci. Młodzieńcza namiętność porywa i kobietę dojrzałą. Ale w chwili, kiedy są u szczytu szczęścia, zjawia się... ojciec młodzieńca, a eksmąż pięknej pani i wyjawia jej straszną tajemnicę. Kochanek jest jej synem, którego opuściła, gdy był maleńki, uciekając przed chorobliwą zazdrością męża. A zatem historia Edypa w nowoczesnych warunkach. Dzisiejsza psychoanaliza wytłomaczyłaby to doskonale. Chłopak, wychowany bez matki, szuka instynktownie ideału kobiecości właśnie w typie, którego był pozbawiony. W kochance podświadomie kocha matkę. Przypadek zrzucił, że była to właśnie jego rodzona matka, ale mogłaby być nią inna kobieta w tym samym mniej więcej wieku. Typowy kompleks matki.

Odwrotny stosunek u kobiety. Ona również, pozbawiona obiektu macierzyństwa, podświadomie szuka zastępczego wyładowania uczuć macierzyńskich w miłości do młodego chłopca. Jej erotyzm, to typowy kompleks syna, zamaskowane niewyżycie się uczuciowe matki.

Tak mówi psychoanaliza. Ale obowiązująca moralność mówi inaczej. Na straży tej moralności staje ojciec, surowy sędzia i mściciel. Kochankowie muszą się rozstać. To, co było ich największym szczęściem, stało się zbrodnią. Ale gdy przychodzi moment pożegnania, czują, że ich miłość silniejsza jest ponad kanony powszechnie przyjętej moralności. Przyjazd ojca traktują, jako zły sen. „Tego wszystkiego nie było“—powiadają sobie Ojciec odjeżdża. Zostaje status quo.

W tym samym wypadku Sofokles kazał swojemu Edypowi wydrzeć sobie oczy z rozpacz i wstydu. Gru-

biński zezwala mu łaskawie kontynuować rozpoczętą sielankę. Ale to jest literatura. Teoria, której brak konfrontacji z życiem. Widz nie widzi możliwości dalszego szczęścia tych dwojga. Widz wychodzi z niesmakiem, nie dlatego, że rozgrzeszona została przez autora anormalna miłość, ale dlatego, że nie wierzy, aby dotychczasowi kochankowie mogli tak łatwo, tak bez skrępowań przejść do porządku dziennego nad tragicznym odkryciem. Są w życiu człowieka cywilizowanego pewne punkty zasadnicze, których nie można anulować. Można sfalszować akt urodzenia, ale nie można zaprzeczyć faktowi urodzenia. I dlatego powstaje pytanie, czy autor miał prawo z dwojga ludzi czystych, szlachetnych, zdolnych do wielkiej miłości, zrobić parę cyników? Czy nie lepiej było pozostawić w naszej wyobraźni miraż dwojga patetycznych w swym nieszczęściu kochanków, niż załamać go w krzywym zwierciadle groteskowego rozwiązania. Dramat klasyczny uznawał w tragizmie „catharsis“, oczyszczenie.

Grubiński swoim rzekomym happy endem zabagnia sprawę, która mogła być czysta. Co innego logika życia, co innego kazuistyka teoretyka.

Ta abstrakcyjność, te przypadkowe, czy celowe oderwanie się od życia zaciążyło również i na dialogach sztuki. Jest to czystej krwi retoryka. Kochankowie mówią o swej miłości wyszukany, książkowy styl, deklamują wtedy, gdy powinni milczeć. Aż się krzyżać chce o konfrontację z życiem.

W tych warunkach zadanie aktorów jest niesłychanie utrudnione. Z piętrzących się przeszkód wyszedł zwycięsko tylko Brydziński, może dlatego, że miał najmniej do gadania, najwięcej do roboty.

Stworzył postać jednolitą, zastygłą w kamiennym spokoju mściciela, jak posąg nowoczesnego Komandora. Dziwić się należy, że Grywińska wołała Łuszczewskiego od tego interesującego, starszego pana.

„Niepoprawny Bobuś“ w teatrze Letnim.

„Niepoprawny Bobuś“ jest istotą przez przydziału i jako typ i jako sztuka sceniczna. Pięćdziesięcioletnie „pachole“, zabawiające się przenoszeniem łabędzia z parku do ogrodu zoologicznego, nabywające bez pieniędzy fortepiany konkurencyjnej firmy poto, żeby je zaraz zastawić, ten bałagula na wiedeńską modłę, dzisiaj jest anachronizmem, jakimś cudownie ocalonym od zagłady mastodontem bezmyślnej hulaszczosci, żywym rezerwatem przedwojennych „burszów“. Stary rozpuszczony leń, który przed nikim nie czuje moreasu, oprócz energicznej mamy i jej ciotki. Wieczny smarkacz, który, zanim wyrósł z lat szczenięcych, już zdążył zdziecinieć, przeskakując wiek męski. Jednym słowem — okaz, ale nie typ. Postać zawierająca w sobie tyle patologii, że aż czasem przerażająca w swym komizmie.

Człowiek normalny czuje się zażenowany, gdy mu każą śmiać się z garbu, choćby to był garb psychiczny.

I dlatego „Niepoprawny Bobuś“ i jako sztuka nie ma przydziału. Krotchwila? Tak, ale o akcentach makabrycznych. Nadomiar złego inscenizatorzy, w myśl chorobliwej obecnie mody „umuzyczniania“ każdego sztuczdyła, kazali Bobusiowi od czasu do czasu śpiewać Hemarowskie piosenki „o starszym panu“. To, co znakomicie nadaje się do kawiarni lub kabaretu, sztucznie wtłoczone w akcję, hamuje ją w momentach najniewłaściwszych, a mianowicie tam, gdzie tylko tempo może zamaskować pustkę krotchwili.

Jedyną jej atrakcją był odtwórca Bobusia, Łapiński. Dla publiczności, zepsutej szablonową manierą Fertnera, był może za bogaty, zbyt dynamiczny, zanadto wyrazisty. Świetny gracz ekspresji, dla którego nawet tusza i mięsistość twarzy stanowią jeszcze jeden atut więcej. W ruchliwości jego maski, w błyskawicznej zmienności jego mimiki, w raptownych erupcjach jego gestykulacji jest coś demonicznego.

Pozostałe role nie dawały pola do popisów. Może tylko pani Chojnacka (znana nam już z „Arletty i zielonych pudeł“) potrafiła wydobyć przekonujące akcenty z postaci gospodyni-kuzynki, po macierzyńsku rozkochanej w Bobusiu. Reszta wykonawców: Czaplińska, Żelska, Hnydziński i Dominiak była mniej interesująca niż zwykle.

W reżyserji pełno niczem nieumotywowanych nonsensów. Np. ten młodzieńczy kwartet, który niewiadomo dlaczego gra w trzecim akcie, niewiadomo dlaczego wychodzi i znowu wraca i znowu gra. Przecież to nie podwórzowa kapela, tylko szkoła muzyczna pod Saleburgiem!

S. P. O.

Łapiński i Dominiak w „Niepoprawnym Bobusiu“.



Z ubiegłego tygodnia

Florenckie rozmowy przegnały „widmo habsburskie”. — Duce o wojnie. — Znaki zapytania. — Przejrzyste insynuacje podane tłustym drukiem. — Nie było feryj, ale zaczyna się „sezon”. — Pożyczki, pożyczki...

Florenckie, nie „noce”, ale rozmowy między kanclerzem austriackim Schuschniggiem, a Mussolinim skonkretyzowały protektorat Italji nad Austrią, nadając mu formę sojuszu obu państw. Od razu też przegnano z europejskiej sceny politycznej widmo Habsburgów, które zjawiało się ostatnio przy każdej niepokojącej sytuacji w Austrii. I zaraz też państwa Małej Ententy podnosiły larum, że na restaurację Habsburgów się nie zgodzą. Wiemy z historii, że dynastje raz pozbawione korony, rzadko kiedy wracają do swoich praw „z bożej łaski”. Powrót Burbonów we Francji również nie był długotrwały, zaczęli już być los pretendentów, że oni i ich rodziny żyć muszą w diasporze, skoro łaska ludów, na pstrym jeździ koniu.

Sprawa Austrii po tragicznej śmierci Dollfussa wkroczyła więc w nową fazę. Śwąd grożącej wojny rozwiął się, narażenie. Wojska włoskie odmaszerowały z granicy północnej i, choć sojusz włosko-austriacki nie wywołał entuzjazmu w Niemczech, na czas jakiś stał się podpora chylącej się niepodległości republiki austriackiej. Mimo to, groźne słowo „wojna” odmieniane jest ciągle jeszcze we wszystkich przypadkach i we wszystkich językach świata. Ostatnio mówił o wojnie w pięknej mowie italskiej Duce Mussolini.

Mówił o tej wojnie, aktualnie, bo po zakończonych manewrach armji włoskiej. Mówił, stojąc na platformie czołgu: „Należy się liczyć z możliwością wojny nie jutro, lecz już dzisiaj. Wojna jest zresztą nieuniknioną, jako najwyższa instancja, regulująca stosunki pomiędzy narodami. Pomimo całej dobrej woli jaką okazywały poszczególne narody celem uniknięcia wojny, pomimo niezliczonych konferencji i protokółów, wojna na przestrzeni wieków była nierozdzielnie związana z losami ludów świata...”

Tak właśnie z historycznego diapazonu, uderzył Mussolini w serca wszystkich pacyfistów świata, bodając nazajutrz po rozmowach florenckich, które, zapobiegły wojnie. Zapewne jest tak, jak na tem miejscu nieraz pisaliśmy, że dziś nikt nie pragnie wojny, ale ją przewiduje. Ciągłe jeszcze z niepokojem spoglądamy na Wschód, gdzie grają japońskie temperamenty. Gdzie gra sowiecka dyplomacja, szachująca Japonję układem z Anglią. Znaki zapytania, które opatruje się ten układ, są więc raczej znakami, ostrzeżenia.

I wogóle te znaki pisarskie, te tłustym drukiem podawane sensacje polityczne, które zgłupia frant wskazuje na pobożne życzenia. Mamy tu na myśli plotki, lansowane przez niektóre pisma fran-

cuskie o tajnym układzie handlowym polsko-niemieckim. Sprawa jest jednak jaśniejsza, niżby tego chcieli autorzy plotek. Są bowiem we Francji takie „koła”, które pragnęłyby podminować aljans polsko-francuski. Te „koła” właśnie trafiają do prasy, nie trzeba wyjaśniać, jakimi sposobami i urabiają, t. zw. opinię. Są to manewry psychologiczne, na których, jak się to mówiło w dawnej Polsce, rzuca się sierpem, albo kilimkiem. Jedno i drugie bywa niekiedy bronią szkodliwą i ostrą.

Widzimy, że „sezon polityczny” zaczyna się z dużym elanem, mimo, że „ferje” nie dawały odpoczynku nerwom. Nie korzystano z urlopów w świecie politycznym, akcja toczyła się bezustannie i w Europie, i w Azji, i w Ameryce. Nawet w Afryce dawano znać o sobie pogromami Żydów.

Nowym rozdziałem, świadczącym o tem, że jednak „sezon” się „rozpoczyna”, są sprawy uzyskania pożyczki przez Austrię i przez Niemcy. Głodziutki przebieg plebiscytu w Niemczech czyni Rzeszę „kreditfähig”. Finansjera amerykańska gotowa już jest do pertraktacji, mimo niedawnych protestów antihitlerowskich i bojkotów.

H. N.

KSIEGA ZAŻALEŃ

Niegrzeczna grzeczność

— Jutro Bronisławy. Czy iść do ...skich? W zeszłym roku było tak u nich krucho... Jeszcze gorzej podobno teraz. Lepiej nie chodźmy! Posłać bilet! Zaraz się wykosztują na jakieś ciastka, pomarańcze, parę złotych pięknie. Nie! stanowczo nie chodźmy! — mówi pani domu.

— Jak uważasz, Zosiu — odpowie zgodnie mąż. — Ty lepiej możesz wiedzieć.

Słyszmy to w niejednym zamożniejszym domu wobec zbliżającej się uroczystości rodzinnej u zubożałych znajomych. A zjawily się podobne wątpliwości nagminne czasu wielkiej wojny, kiedy to jadalismy kluski z czarnej maki gryczanej na poły z piaskiem, no a dalszy ciąg to obecny kryzys. Czy za każdym jednak razem ludzie, tak rozumujący, mają rację?

Rozpatrmy to bliżej. Gościnność była cechą charakterystyczną rodziny ...skich. Słyszeli wprost z gościnności. Pamiętacie jednak dobrze, migdy się nie sadzili na przyjęcia. Zastał ich kto przy śniadaniu — dali mu taką samą szklankę kawy i bułkę z masłem, czy suchą, jaką sami jedli. W obiadowej porze otrzymywał gość porcję pieczenia z tego, coby zostało na kolację, czy na śniadanie nazajutrz. Jakże często można było u nich spotkać kogo z bliższych czy dalszych znajomych! To stanowczo najgościnniejsi z ludzi, jakich się kiedykolwiek znało.

Czyż teraz z gruntu, zupełnie zmieniło się ich usposobienie? Czyż ciężkie czasy uczyniły ich nieczułym na powaby życia towarzyskiego?

Pewną sumkę na przyjęcie w dzień Imienia wysuplają, ta pozycja u nich w budżecie była przewidziana, nienadetatowa.

Bo to dziś, w dobie kryzysu, jeden wyzka się teatru, drugi odwiedzania wystaw

obrazów, inny znów odnajmie pokój czy pokoje, mieszka w ciasnocie, wyzbywając się wielu wygod i dogodności mieszkaniowych; są tacy, którzy kasują przedewszystkiem radjo, inni znów za nic wyrzec się go nie potrafią, nazywają je jedynym swoim łącznikiem ze światem, a mam znów niezamozną znajomą, kompletną abnegatkę, która się kina jednego za nic wyrzeknie; zabranie kogo z bliskich do kina, to przytem u niej najczęstsza forma upominku; co dla jednego jest przedmiotem zbytku, dla drugiego, rzeczą pierwszej potrzeby. Orzekanie zaś katagoryczne, jak w rzeczach gustu, kto ma tu rację, do pozytywnych rezultatów doprowadzić nie może.

Mojem zdaniem więc, wracając do rodziny ...skich nie należy pozbawiać ich jednej, jedynej, pozostałej im, a największej ich przyjemności, w dzień Imienia jednego z członków rodziny oni to, najbardziej towarzyscy, nie powinni siedzieć samotnie.

Ileż to osób zamożnych odwiedza wprawdzie swoich uboższych znajomych, ale w momencie, kiedy jakieś zewnętrzne oznaki, jakieś szczerkanie talerzy, zapachy z kuchni, czy zegar wreszcie mówi o zbliżeniu się posiłku, forsownie wyrwywają się wprost z objęć najserdeczniej zapraszających ich gospodarzy. Czyż takie postępowanie nie zaboli tego biedaka, który ani rusz do swojej biedy przywyknąć nie może. A zdarza się i tak: goście ostatecznie dali się ubłagać, zostali, lecz znów rozplywają się nad smakiem, dobrocią jakiejś najpospolitszej potrawy, która jest nazwyklej przygotowana i kłują boleśnie tym fałszem poczucie gospodarzy, bo poczucia słusności, miary, smaku nie zatracili bynajmniej wraz ze zubożeniem.

To obrażająca grzeczność.

Kreśląc te słowa, siedzę na werandzie na Osiedlu u ludzi bardzo gościnnych. Pan domu nie zgadza się z moimi wywodami, utrzymuje, iż 95 procent ludzi dostosowuje przyjęcia nie do możności własnej, ale do stopy życiowej znajomych właśnie. Niech będzie 5 procent, ale o tę odsetkę bardzo mi idzie, o tę mniejszość, której drażliwość, ambicja tak bardzo boleśnie jest znieważana.

Jest wiele odmian niegrzecznej grzeczności.

Przypomnę jeszcze niektóre.

Zdarza się tak znów między pracownikami instytucji dajmy na to, oświatowej. Pewnej chwili np. przy końcu roku szkolnego bezpośredni zwierzchnik dziękuje podług wszelkich przepisów dobrego wychowania swemu podwładnemu za pracę niezwykle gorliwą. A podwładny ten pracuje ofiarnie, z zapalem, z niezwykle oddaniem się oświacie ludu. Sprawa ta jest głównem jego życiowem zainteresowaniem. Pracuje dla własnego społeczeństwa, co mówię, ludzkości całej. Podziękowanie jest tu niegrzeczną grzecznością, nie pracował on przecież dla przypodobania się swemu zwierzchnikowi, dla awansu, podwyżki, całej instytucji wie o tem doskonale.

Albo też: interesant, przyszedłszy do biura w jakiejś sprawie, dał swój bilet wizytowy woźnemu, żeby go zaanonsował wyż-

szemu urzędnikowi. Po skończonej audjencji ów dygnitarz zwraca petentowi bilet.

Czyż nie właściwiej było po odejściu interesanta raczej wrzucić niepotrzebny kawałek brystolu do kosza od papieru, nie zwracać temu komuś, kogo się uważa za biedaka, przedmiotu minimalnej wartości, który on użyć może pono raz jeszcze.

A tak się dzieje jednak po biurach. To częsta forma zakończenia audjencji.

Podobnie postępują z biletami i ludzie prywatni.

Bo ludzie bywają grzeczni i niegrzeczni, dobrze i źle wychowani, lecz co najważniejsza, subtelnie i mniej subtelnie dostrzegający, co czuje ten drugi, bliźni.

C. D.

Książki nadesłane do Redakcji

Tadeusz Kasprzycki (generał brygady): „Kartki z dziennika oficera I Brygady”. Warszawa 1934. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy.

Tadeusz Gierut: „Pod wiatr”. Powieść. Skł. gł. „Dom Książki Polskiej”. Warszawa 1934.

„O Wojewodzie Gwilemie Krzywonosie”. Powieść rycerska. Z książek starych wskrzesiła *Anna Ludwika Czerna*. Wydawnictwo Instytutu Literackiego. Warszawa M. MXXXIV.

Rosa Bailly: „Montagnes Pyrenées”. Editions de la Forge, Paris 1934.

Wystawa „Polska i Polacy w Świecie”. Przewodnik i Pamiętnik. Warszawa, sierpień 1934.

Adam Dromicz: „Odbronzowanie kobiet”. Studium Miroginiczne. Skład główny „Dom Książki Polskiej” 1934.

Odpowiedzi od Redakcji

Prenumeratorce z Legionowa.

Instytucja o którą Sz. Pani zapytuje, nazywa się „Ratujmy niemowlęta”; mieści się w Warszawie, Nowy-Świat 8 m. 10.

Pani A. N. stalej prenumeratorce z Tarnowskich Gór.

25-lecie pożycia małżeńskiego czyli t. zw. „Srebrne wesele” obchodzi się zwykle w kółku rodzinnym i najbliższych przyjaciół. Dawniej był zwyczaj, że na obrączkach ślubnych złotych kazano sobie robić srebrne cyfry rzymskie XXV. O ile ktoś chce religijnie obchodzić tę rocznicę, to zamawia Mszę św. na intencję dalszego szczęśliwego pożycia. Na nabożeństwie są obecni najbliżsi. Dobrze jest też upamiętnić ten dzień jakąś ofiarą na cele społeczne np. jak obecnie na powodzian. Jeżeli w najbliższej rodzinie jest nastrój odpowiedni, można wydać przyjęcie (obiad lub wieczerzę, z winem), na którą zaprasza się rodzinę i przyjaciół. Zwykle wówczas ktoś z obecnych wznosi zdrowie jubilatów małżeńskich. Z naszej strony życzymy Im, aby w szczęściu i zdrowiu doczekali złotego wesela.

Kobieta w świecie i w domu



Pani Zofia Korwin Piotrowska, która dostała nagrodę od Akademii Francuskiej (w sumie 2 tys. franków) za swoje prace o Balzaku: „Balzac et le monde slave”, „Madame Hańska et l'oeuvre Balzacienne” i „Balzac en Pologne. Essai de Bibliographie”.

SKARGA BRYTYJSKIEJ LOTNICZKI.
„DROGO OPLACAM SWĄ SŁAWĘ...”

Popularna lotniczka angielska, Amy Mollison, udzieliła wywiadu prasie, skarżąc się na swój los:

— Drogo oplacam swą sławę. Wszystko straciłam, pieniądze i szczęście.

Niegdyś, gdy mieszkalam na prowincji, marzyłam o karierze lotniczej i skromnym zarobku 15 funtów miesięcznie (ok. 450 zł.).

Dziś, jestem sławna, lecz nie mam już przyjaciół. Przerwały się dawne, dobre i ufnie znajomości, nowych nie umiem zażywać.

Wydałam na swe projekty ponad 20 tysięcy funtów i nie mam już więcej pieniędzy.

Nie chcę być światową kobietą. Chcę być pożyteczna, lecz władze odrzucają moje usługi i doświadczenie. Jedno tylko towarzystwo amerykańskie chce mnie zaangażować, w Londynie natomiast odmawiają mi nawet uczestnictwa w uroczystościach lotniczych.

Wtajemniczeni twierdzą, że rozczarowanie zawdzięcza Amy Mollison samej sobie: ma ponoć nieznosny charakter.

W Polsce mamy na to dowód z tego, jak nas oszukała za otrzymaną pomoc i opiekę po przymusowym lądowaniu.

„MISS RADIO”

20 TYSIĘCY KANDYDATEK DO ZASZCZYTNEGO TYTUŁU.

W Anglii otwarta będzie wkrótce międzynarodowa wystawa radjowa. Komitet organizacyjny podjął oryginalną inicja-

tywę: poszukuje młodej kobiety, która byłaby godna tytułu „Miss Radio”.

Powinna ona, jak głosi regulamin ogłoszonego konkursu, być piękna i uduchowiona, mieć ciepły i fonogeniczny głos, wysoką inteligencję, powabną i czarującą powierzchowność. Jako posobienie radja, powinna być kulturalna i oświecona, a zarazem nowoczesna.

Słowem, „Miss Radio” będzie wyjątkową kobietą. Jak ją znaleźć? Tymczasem, wbrew wszelkim przypuszczeniom, wpłynęło już 20 tysięcy zgłoszeń konkursowych! Taka liczba Angielek uważa, że odpowiada warunkom konkursu, zgłaszając swą kandydaturę do nowego i jakże pociągającego tytułu „gwiazdy fal”. Wynik konkursu ogłoszony będzie w dniu otwarcia wielkiej wystawy.

WYSTAWA PRAC ARTYSTEK W I. P. S-IE.

MIĘDZYNARODOWE MALARSTWO, GRAFIKA, RZEŻBA.

W Warszawie przygotowuje się już Międzynarodowa Wystawa malarstwa, grafiki i rzeźby, organizowana przez Zjednoczenie Kobiet Pracujących Zawodowo w Polsce, afiliowane do Międzynarodowej Federacji Kobiet Pracujących w zawodach wolnych i handlowych (international Federation of Business and Professional Women).

Wystawa odbędzie się w salonach instytutu Prapagandy Sztuki (IPS) w październiku i obejmie dzieła sztuki, nadesłane przez związki kobiece, należące do Międzynarodowej Federacji. Dotychczas zgłosiły się przedstawiciele 7-miu krajów z bardzo licznymi eksponatami.

Wystawę w Warszawie organizuje z ramienia Międzynarodowej Federacji przewodnicząca międzynarodowego komitetu Sztuk Pięknych, p. Paoli Pogliani, z ramienia Zjednoczenia Polskiego pani I. Glinicka, która w ub. roku była komisarzem wystawy amsterdamskiej ze strony polskiej i jest przewodniczącą Sekcji Sztuk Plastycznych Zjednoczenia Kobiet Pracujących Zawodowo w Polsce.

Wystawa ma być otwarta w dn. 29-go września. Prócz pani Paoli Pogliani ma przybyć do Warszawy generalna sekretarka Międzynarodowej Federacji, p. Heneker z Genewy i p. Klara Meljers, dyrektorka banku z Amsterdamu.

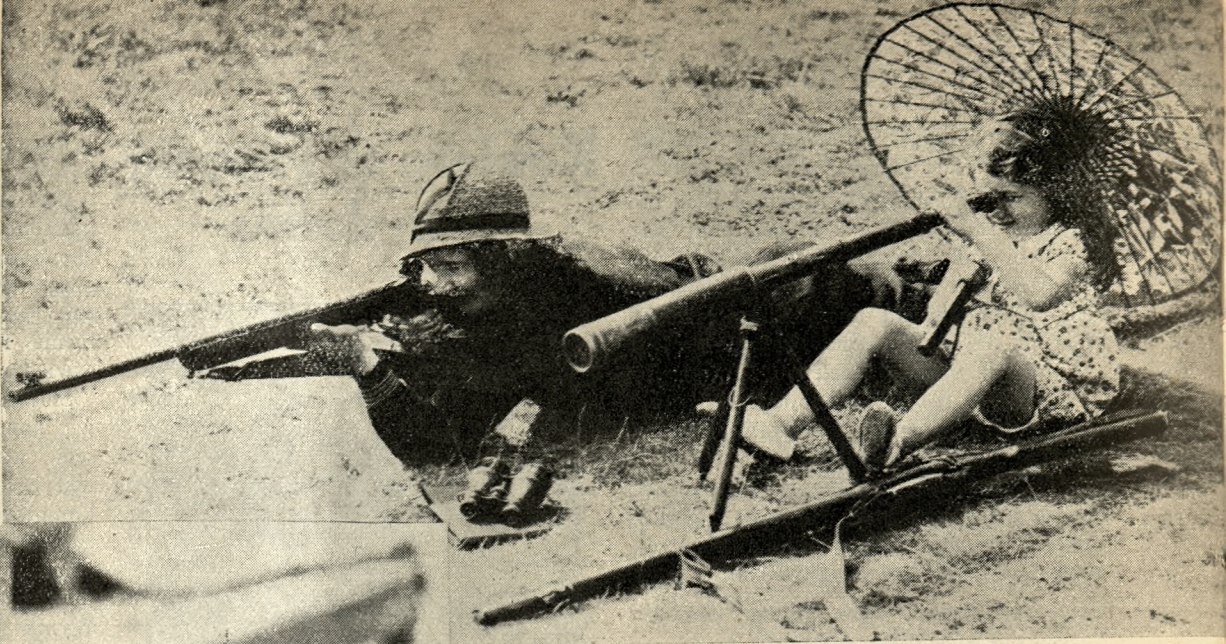
Wydany będzie artystyczny katalog wystawy.

CZYTELNICZKI NASZE

prosimy, by żądały pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, restauracjach, czytelnich i t. d.

PRZED NOWĄ WYPRAWĄ ARKTYCZNĄ.

Lady Wilkins, żona sir Huberta Wilkinsa, znanego podróżnika, na pokładzie „Aquitanii” w drodze z New Yorku do Anglii, gdzie jej mąż przygotowuje się do nowej wyprawy arktycznej.



MAMA STRZELA, CÓRECZKA KONTROLUJE.

W Eislej w Anglii odbył się wielki meeting strzelecki połączony z zawodami. Jedną z uczestniczek pani L. Philpott zabrała ze sobą córeczkę, która przez lunetę kontrolowała celność strzałów mamusi.

PARASOL NA TELEFONIE.

Angielski minister poczt i telegrafów, sir H. Kingsley Wood otrzymuje liczne listy od kobiet. Są to zażalenia na wadliwe funkcjonowanie aparatów telefonicznych. Szczególnie liczne są skargi z powodu ograniczonego czasu trwania rozmów z automatów ulicznych.

Niedawno otrzymał angielski minister pełen oburzenia list, w którym mieszkanka Londynu, Helen Pankhorse, donosiła, że w ciągu 25 minut bezskutecznie „dobijała się o połączenie z ulicznej kabiny i połączenia nie otrzymała”.

Protest Angielki kończył się słowami: „Telefonowałam w niezbyt ważnej sprawie osobistej. W grę mogła jednak wchodzić ważniejsza kwestja. Mogłam być świadkiem wypadku ulicznego lub pożaru. 25-minutowa zwłoka w telefonicznym wezwaniu pogotowia ratunkowego lub straży pożarnej mogłaby wówczas zaważyć na życiu jednej lub wielu osób. Proszę o bezzwłoczną interwencję, by w imię dobra publicznego naprawić skandaliczny stan rzeczy”.

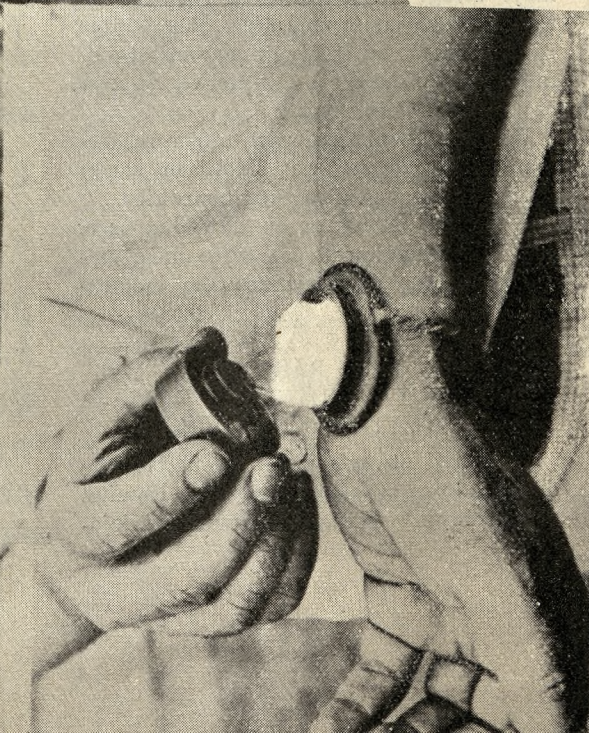
Minister Kingsley Wood, wzięwszy sobie bardzo do serca tę skargę, zarządził specjalne śledztwo w związku z tym listem. I cóż się okazało?

Pełna chwalebnej troski o dobro publiczne Angielka telefonowała w sposób, który wykluczał uzyskanie połączenia: gdy tylko zdjęła słuchawkę, od razu zawiesiła na widelkach parasol, aby mieć wolne ręce!...

Nie dziwnego, że centrala telefoniczna pozostawała głucha na takie wezwanie!

PRZECIW UPALOM.

W mieście Lafayette w Stanie Indiana weszła w użycie świeżo tam wynaleziona branzoletka przeciw upałom. Zamiast zegarka zawiera ona kawałek lodu, który przykładają się na puls. Podobno działa nadzwyczaj skutecznie. Z taką branzoletką można gwizdać na upały.



KURS GRY W TENISA NA DACHU.

Znany amerykański mistrz tenisa George Witman zorganizował w New - Yorku kurs tenisa na dachu jednego z drapaczy nieba. Jak widać, kurs cieszy się dużym powodzeniem.



JAPONKI UCZĄ SIĘ LATAC

Japonki z zapalem przygotowują się do zawodu pilota w szkole lotniczej w Tokio. Na zdjęciu grupa Japonek lotniczek z amerykańką, miss Margery Brown pośrodku. Miss Brown organizuje lotnictwo kobiece w Japonii.

POCHÓD HISTORYCZNY W LANDSHUT.

W mieście Landshut corocznie odbywa się pochód w historycznych kostjumach, przedstawiający „wesele w Landshut”.



Ogrodnictwo i hodowla

Zakładamy ogródek

Zbliża się jesień. Kończy się sezon budowlany, w Polsce mimo kryzysu budownictwo willowe chociaż powoli, ale się trochę rusza. W nadchodzącej jesieni znów rzesze nowych „osiedleńców” zaczną się krzątać koło urzędzenia sobie większych i mniejszych ogródeczków. Nie od rzeczy jest podać kilka bardzo ogólnych rad i wskazań na ten temat.

Przedewszystkiem należy sobie uświadomić, iż ogródek zakłada się nie na rok ani na dwa, tylko, że raz założony, ma nas cieszyć swoją urodą przez wiele lat, z tym, że z każdym rokiem powinien być ładniejszy w miarę, jak się wszystko będzie rozrastać. Dlatego też ogródek musi być rozplanowany z wielkim rozmysłem i o ile możności przez fachowca, który plan swój dostosuje do: wielkości, położenia, gleby, uśłonecznienia i t. p.

Ważną jest rzeczą obliczenie się odrazu z czasem i kieszenią, bo pamiętać należy, że często taniej wypadnie jednorazowy większy nakład, niż potem stała dłubanina z tym, że efekt jest niezadawalający.

W żadnym może wypadku zasada „jestem za biedny, aby kupować tanie rzeczy” nie jest tak bardzo życiowa, jak przy zakładaniu ogrodu. Ani ziemia, ani roślina, oszukać się nie da i żadna tandeta ani partactwo nie da się ukryć i zawsze nam wylezie w najbardziej nieodpowiednim momencie.

Przedewszystkiem należy sobie sprokurować plan ogrodu, są w handlu bardzo niedrogo gotowe plany ogródków, oczywiście, że zawsze lepszym będzie planik, sporządzony specjalnie dla danego terenu. Planu tego należy się trzymać ściśle.

Amatorzy są skłonni do tego, aby swój ogródek przeładowywać, jest to wielkim błędem, który się na ogródku musi zemścić. Przy wyborze roślin do ogródka amatorskiego należy wybierać przedewszystkiem rośliny odpowiednie i znoszące nasz klimat doskonale, unikać należy roślin zbyt delikatnych i wybrednych, dużo przy nich bowiem pracy i zachodu oraz zawodów.

Zanim się przystąpi do sadzenia, należy starannie wykonać roboty ziemne t. zn. drenaż, nawiezienie gliny piaskiem, a piasku gliną i t. p., założyć odpowiednie ścieżki, a całą ziemię doskonale znawozić i doprawić, oraz należy ogródek ogrodzić w ten czy inny sposób. Zasadzone roślinki trzeba pielęgnować starannie, dostarczając im we właściwym

czasie, wody, pokarmu, okrycia i t. d.

Wrogom naszego ogródka wypowiemy walkę na śmierć i życie, t. zn. tępić będziemy chwasty, owad, liszki, grzybki i t. p. stosownymi środkami, których wiedza ogrodnicza ma już dziś sporo w zapasie.

Przyjaciół roślin zaś będziemy otaczać opieką, pozwolimy więc skakać spokojnie wielkiej, a brzydkiej ropusze w zrozumieniu jej roli w ogrodzie. Na kreta, za to, że nam klomby i trawniki rozkopuje, będziemy się gniewać i karać go w ten sposób, że do jego nor podrzucimy kawałki śledzia, karbid i t. p. pachnące przedmioty, ale mu żadnej krzywdy nie uczynimy.

Ptaki będziemy chronić, o ile tylko można przez racjonalne dokarmianie ich zimą, rozwieszanie gniazd, aby miały gdzie mieszkać i wychowywać swoje dzieci.

Ogródek, tak samo jak i mieszkanie, musi mieć stale wygląd porządku, to też musi być w nim posprzątane stale zarówno zimą, jak i latem.

Zakładając ogródek, trzeba zawczasu pomyśleć o urządzeniu sobie kącika, gdzieby można było czas spędzać, odpoczywając wygodnie z książką czy robotką w rękę.

Jeśli się mówi, że nie powinno się żałować na założenie ogródka, to nie w tym znaczeniu, że powinno się kupować jakieś wymyślne egzotyczne rośliny. Broń Boże. Chodzi o to, aby drzewa i krzewy nabywać nie tam, gdzie tańsze, tylko tam, gdzie lepsze, chodzi tu nie o daną odmianę, a jedynie o gatunek samej rośliny. Różnica w cenie rozłożona na dziesiątki lat istnienia ogrodu wyniesie zaledwie grosze.

Ważną jest rzeczą, aby sobie zgóry obliczyć, wiele czasu będziemy mogli naszemu ogródkowi poświęcać i stosownie do tego rozplanujemy go, dając np. więcej lub mniej klombów lub trawników.

Marja Dąbrowa.

Sadźmy Kasztany

Kasztany, kochane kasztany, wiele to wspomnień dzieciństwa z nimi się łączy. Jakże było miło patrzeć, gdy ciężko padały z drzewa na ziemię — pac — jak się zielona skorupka rozlatywała na części, potem wozilo się je małymi taczkami na większe i mniejsze kupki.

Jakże wspaniale imitowały każdy towar przy zabawie w sklep! Jak nic innego, nadawały się do nawlekania naszyjników dla wodzów indyjskich, i wogóle czego z nich nie można było zrobić: wagi,

koszycki, budziki, grzybki i t. d. Potem wprowadzi się pomarszczyły i pogubiły, ale i tak zabawy z nich było mnóstwo.

Kasztan należy do drzew niesłychanie szybko rosnących, piętnastoletnie drzewo prezentuje się już okazale, to też kasztany są bezcenne, zarówno przy zakładaniu dużych parków, jak i małych ogródków. Doskonale nadają się do obsadzania dróg.

Rośnie na każdej prawie mniej więcej doprawionej glebie. Rozwija się bardzo wcześnie na wiosnę i kwitnie cudnie kiśćmi białoróżowych kwiatów, z których pszczoły mają wiele pożytku.

Z dojrzałych owoców można robić śliczny, biały, błyszczący krochmal, proszek mydlany, oraz używać ich na karmę dla świń i drobiu z tem, że temu ostatniemu dajemy około 20 gr. na każde 2 kg. żywej wagi.

Proszek mydlany wymaga mniej pracy, niż krochmal. Kasztany o biera się z twardkiej łupiny, kraje w cienkie plasterki, suszy i miele w stępach lub żarnach. Proszku tego używa się do mycia rąk, do szorowania podłóg, drzewa oraz do prania kolorowych rzeczy wełnianych zamiast Quilaji lub wiórek panamskich.

Dlatego też warto zbierać najdozrodniejsze owoce i następnie wysadzić na szkółkę.

W tym celu wybieramy wielkie, foremne, doskonale dojrzałe owoce i układamy je, póki jeszcze świeże, ale doskonale już przesuszone, warstwami w niewielkich skrzynkach. Ułożone muszą być niezbyt ściśle i każda warstwa przesypana wilgotnym piaskiem. Pierwsza i ostatnia warstwa musi być w piasku.

Tak napełnione skrzynki należy zasypać na metr głęboko w wilgotną ziemię. Pamiętać należy, iż kasztanów nie można stratyfikować w ziemi mokrej, gdyż wtedy łatwo gniją.

Na wiosnę wyjąć skrzynki i kielkujące już kasztany, posadzić na miejsce stałe lub co lepiej na zagonkach co 50 cm. w kwadrat. Sadzić należy na 5 cm. głęboko i ostrożnie, aby delikatnego kielka nie uszkodzić.

W ciągu lata utrzymujemy ziemię pulchno i czysto, podlewając w razie długotrwałej suszy.

Aby otrzymać doskonałe, proste drzewka, praktycznie jest dawać każdej roślince palik.

Kasztan nie znosi cięcia, koronę formuje sobie sam bez pomocy, wszelkie więc zabiegi co do tego polegają jedynie na usuwaniu nie-

potrzebnie wyrastających bocznych pędów.

Przy sprzyjających warunkach kłasnuty do jesieni powinny wyrosnąć na przeszło metr wysoko i na jesieni już mogą iść na miejsce stałe.

Remiszowska.

PRZECHOWYWANIE DALJI I PACIORECZNIKÓW

Dalje, te rywalki róż, co do berła królewskiej urody w naszych ogródkach, są, niestety, bardzo czułe na zimno i przed nastaniem przymrozków muszą być z ziemi wyjęte i przechowane tak, aby ani mróz, ani wilgoć nie miały do nich dostępu.

Gdy pierwsze przymrozki zważy liście i ostatnie kwiaty i pąki, trzeba krzaki przyciąć ostrym sekatorem na wysokości 10 cm. nad ziemią.

Następnie trzeba odczekać kilka dni suchej i słonecznej pogody, aby ziemia nie miała nadmiaru wilgoci i wyjąć bulwy. Przy wykopywaniu grubych, mięsistych bulw dalji, należy bardzo uważać, aby łopatą ich nie naruszyć i nie zranić. Gdybyśmy tych ostrożności zaniedbali, wówczas łatwo mogłyby nastąpić procesy gnilne, któreby zniszczyły całą roślinę.

Należy się również starać, aby możliwie wyjmować bulwy z całą bryłą korzeniową, bo takie się najlepiej przyjmują. Na pomieszczenie dla bulw najlepsze są jasne, suche i zabezpieczone od mrozu komórki. Piwnice mniej się tutaj nadają, gdyż najczęściej są wilgotne i plagę ich stanowią myszy i szczury, które lubią bulwy ogryzać, czego następstwem jest ich gnicie.

W razie, gdyby ziemia z korzeni się osypała, to należy bulwy umieścić w piasku lub, co lepiej, w doskonale wysuszonym miale torfowym.

Co pewien czas należy do przechowywanych bulw zaglądać i gdybyśmy spostrzegli najłżejszy bodaj ślad gnicia, należy chorą tkankę aż do zdrowej wykroić ostrym nożem i miejsce zranione przysypać sproszkowanym węglem drzewnym, który posiada własności odkażające.

Jedynie przy starannym przechowywaniu bulw dalji, możemy liczyć na to, że na wiosnę nie staniemy przed niemiłą niespodzianką, że bulwy zgniły.

ZIMOWANIE PACIORECZNIKÓW

Zimowanie pacioreczników musi być bardzo staranne. Podczas spoczynku boją się one wszelkiej wilgoci, a zwłaszcza zaciekającej

wody; suche powietrze i wysoka temperatura przechowalni również im nie służy. W pierwszym wypadku podlegają gniciu, w drugim wędnią i zasychają.

Najodpowiedniejszym miejscem dla ich przechowania jest jasne i suche pomieszczenie, gdzie temperatura waha się w granicach 7 — 10° C. i gdzie mamy możliwość częstego wietrzenia. Po pierwszych jesiennych przymrozkach, gdy liście pacioreczników uległy zważeniu, wykopujemy je z całą bryłą ziemi, po przyjęciu lodyg na 25 cm. ponad ziemią.

Następnie układamy kłacza jedno przy drugim, najlepiej na ziemi.

W ciągu zimy ochronić je przed wilgocią, oraz pilnie usuwać wszelkie zbutwiałe lodygi.

W razie uzasadnionej obawy o zdrowie przechowywane kłaczy, skracamy ich odpoczynek i sadzimy je do wazoników zaraz po Nowym Roku.

Marja Mauve.

Odpowiedzi działu ogrodniczo hodowlanego

P. H. Koźmińska, Warszawa. Zielone mszyce m. chińskiej rasy i białe muszki na pelargonjach zwalczamy przez spryskiwanie roślin roztworem szarego mydła i ekstraktu tytoniowego. Opryskiwać trzeba dokładnie 5—6 razy w odstępach 10 dniowych tak, aby ciecz dotarła do wszystkich zakamarków. W 24 godzin po każdym opryskaniu splókać rośliny ciepłą wodą. Roztwór przygotować, jak następuje: 15 dk. mialu tytoniowego, lub zwykłego tytoniu fajkowego zalać na 24 godziny litrem letniej wody, potem precedzić płyn i dolać tyle wody, aby uzyskać 5 l. cieczy. W innym naczyniu rozpuścić w 5 l. wody miękkiej i 15 dk. szarego mydła. Do opryskiwania miesza się każdorazowo odpowiednią ilość obu cieczy w równych częściach. Gotową mieszaninę trzeba od razu zużyć. W osobnych naczyniach obie ciecze mogą być długo przechowywane, bo się nie psują.

P. B. Szamłowska, Czerwionka. Przesłane liście sliwy węgierskiej zaatakowane są przez grzybek pasożytniczy: *Closteros porium carpophilum*. Liście po opadnięciu należy zgrabić i spalić. W następnym roku opryskiwać drzewa jednoprocetową cieczą bordoską i to pierwszy raz tuż po okwitnieniu, drugi raz w dwa tygodnie, trzeci raz po następnych 14 dniach.

P. Z. Podczaska, Warszawa. Amarylis, to wdzięczna roślina w hodowli. Przy odpowiedniej pielęgnacji już w trzecim roku życia wydaje kwiaty, którymi darzy następnie hodowczynię co roku. Większość odmian amarylisów traci liście na zimę, niektóre pozostają zielone cały rok i te zakwitają już około Bożego Narodzenia, podczas gdy pora kwitnienia tamtych wypada na wiosnę.

Warunkiem dobrego kwitnienia jest ziemia pożywna i przestrzeganie pory spo-

czynku, u roślin tych bardzo ważnej. Najodpowiedniejsza ziemia: 1 część inspektowej, 1 część liściowej, 1 część gnojowej, 1 część darniowej, 1 część gruboziarnistego piasku i nieco wiórek rogowych.

Od września do grudnia w okresie spoczynku stać muszą w jasnym pomieszczeniu o temperaturze 8—10° C. i podlewa się je b. ogłędnie.

Gdy nadchodzi pora kwitnienia, wstawia się je do ciepłego pokoju i podlewa letnią wodą. Po przekwitnieniu należy amarylisy przesadzić tak głęboko, by większa część cebulki wystawała z ziemi. Wszelkie nadpsute korzenie trzeba usunąć.

W ciągu okresu wegetacyjnego, dajmy roślinom stanowisko jasne, lecz cokolwiek osłonięte od bezpośrednich promieni słonecznych, podlewamy obficie.

O wdzięcznej tej roślinie postaramy się podać wyczerpujący artykuł.

P. Z. Płodowska, Mierzęcice. *Farosyca*, to pasożyt bardzo trudny do zwalczania, a jednocześnie bardzo groźny dla rośliny, którą w krótkim czasie może zupełnie zniszczyć. *Czerwiec tarczowy*, *Aspidiotus* występuje w postaci małych, tarczowatych kulek, podobnych do połówek siemienia konopnego. Są one bardzo mocno do gałązek poprzyczepiane. Owad ten daje się usunąć przez mechaniczne zdejmowanie go z gałązek. Po mechanicznym tem oczyszczeniu, zaleca się zwilżanie pojedynczych owadów 35-procentowym spirytusem przy pomocy pendzelka. Zastosowawszy wyżej wymienione środki dobrze jest opryskać jeszcze dwukrotnie w odstępach 10-dniowych roślinę odwarem nikotynowo - mydlanym. Przepis na ten odwar podawaliśmy już kilkakrotnie.

Gdzie jest prawda w kosmetyce

Od 10 lat istnienia, celem „Pierwszych w Polsce, wzorowych, Kursów Kosmetycznych” i „Pierwszej w Polsce, wzorowej, Szkoły Masażu Leczniczego” jest wyszkolenie i wychowanie fachowych, samodzielnych, inteligentnych i zamożonych kosmetyczek i masażystek, zdolnych do poważnej, odpowiedzialnej pracy z pożytkiem dla społeczeństwa i siebie.

Ukończenie Kursów i Szkoły daje prawo praktyki i otwarcia własnego gabinetu kosmetycznego.

Nauka obejmuje przedmioty obowiązkowe, zatwierdzone przez Departament Zdrowia, oraz nieobowiązkowe, dodatkowe i specjalne. Ćwiczenia obejmują wszelkie nowości krajowe i zagraniczne z zakresu zabiegów kosmetycznych, stosowania i przygotowania środków kosmetycznych, oraz zabiegi zdobnicze jak manicure, fryzjerstwo, maquillage zwykły, sceniczny, filmowy i t. p.

Kursy posiadają wzorowy lokal szkolny: sale wykładowe, pracownię, wzorownię, laboratorium, muzeum, oraz jedyne w swoim rodzaju pełne komplety urządzeń i specjalnych aparatów kosmetycznych, według ostatniej techniki i wskazań.

Urządzenia Kursów uważane są przez świat lekarski i specjalistów za wzorowe urządzenia w Polsce, a poziom nauczania za najwyższy i postępowy, oparty na 10-cio letnim doświadczeniu pedagogicznym.

Szczegółowe informacje udziela Sekretariat „Pierwszych w Polsce Kursów Kosmetycznych” Dr. med. Marty Biernackiej i Dyr. Iny Kisielewskiej w Warszawie, Szopena 16.

Dom i gospodarstwo

Co będziemy nosiły

Jeszcze nosimy letnie sukienki i kostjumy, korzystając z ostatnich ciepłych dni. Trudno się nam z nimi rozstać. Takie są przecież twarzowe, i wygodne, i miłe, i zdrowe. Przez ich cienką powierzchnię przenikają rozkosznie promienie słoneczne, ogrzewając obnażone ręce i szyję.

Jeszcze nosimy leciutkie, białe pantofelki, a nawet, co już zupełnie na ulicy nie wypada, plażowe sandaalki, które tak słodko przypominają szum fal, wesół jazz i „jego” przymilne szept.

Jeszcze wciągamy z rozkoszą krótkie pończochy, sięgające tylko do kolan...

Ale już oczy nasze wybiegają do witryn sklepowych ciekawe, niespokojne. Ręce przerzucają przedko i chciwie stosi żurnali. Bo rdza pokrywa liście kasztanów i tak gorąco, tak płomiennie barwią się na ich tle czerwone dalje.

Lato się kończy. Nadchodzi jesień. I jak zwykle bywa, „le roi est mort, vive le roi”. Trzeba się dostosować do jego praw i wymagań.

Więc przede wszystkim zrzuca się letnie kapelusze. Tafta, filc i aksamit przystrajają głowy. Kolory czarny i ciemny brąz. A fasony? Albo małe toczki, przystrojone egretą z piór, albo berety. Właściwie, trudno nazwać beretem te ogromne, płaskie kapki, osłaniające głowy, jak liść. Zsunięte głęboko na czoło, a w każdym razie na prawe oko, wnoszą coś zupełnie nowego. Sfalowane, wymarszczone, płaskie, bez główki (na baretkę tylko) układają się miękko na włosach. Przybiera się je piórami strusiemi, pokrywa crossami, wymarszcza, ozdabia kokardami. Są tak urozmaicone, że z pewnością dadzą się dobrać do każdej twarzy.

Czy ładne? Oryginalne i nowe, tak. Obok nich sygnalizują kapelusze bardzo skośne włożone, z rondami z jednej strony podniesionymi, z drugiej opuszczonymi, które doskonale modelują... profil. Moda faworyzuje go w tym sezonie. I te duże kapelusze „profilowe” będą uzupełnieniem długich sukien wieczorowych, dekolowanych. Kobieta będzie się w nich czuła ubraną „od stóp do głów”.

Toalety balowe coraz bardziej przyjmują formę fourreau. Obcisłe, modelujące wysmukłą (tak,

Nasze perfumy uznane za najlepsze!

KALIA • BELTISTAN • BAROC

ostatnie nasze nowości

PADY
FU SHU
KRISHNA

*J. S. Stempniewicza
Poznań*

znów wysmukłą!) linję ciała. Poszerzane są tylko w dole falbanami, kloszem, wachlarzami układanymi, ułatwiającymi swobodę ruchów. Odpowiada im szerokość ramion, zdobywana zapomocą kokard, rękawów, draperyj. No i prześliczne tiulowe narzutki! Zrobione w formie chusteczek o długich końcach, w kształcie pelerynek lub długich szali, wielometrowej długości, pokrytych falbanami prześlicznie okalają sylwetkę, nadając jej specjalnie szykowne cachet.

Nowością na paryskim gruncie, nowością sensacyjną są futra, farbowane na kolor granatowy i niebieski. Robią z nich przedziwne pelerynki, kamizelki i odmiany etoli, przyczem nieraz bywają stosowane dwa cienie.

Wogóle futra wysuwają się na pierwszy plan, nie tylko jako $\frac{3}{4}$ palta, albo płaszcze na $\frac{7}{8}$ długości, dosyć proste, ale niezbyt luźne, ale i jako przybranie tak fantazyjne, że aż zdumiewające. Kamizelki, karczki z rękawami, kokardy, krawaty,

chusteczki powstają pod zręcznymi palcami kuśnierzy, dzięki idealnie cienkiej wyprawie futer.

Kolor czarny zajmuje w kolekcjach miejsce tak dominujące, że staje się nieomal uniformem dobrze ubranej kobiety. Czasem ożywia go biały, gris perle, albo blady bois de rose.

Jako strój na ulicę, kostjum. Przy zakietach krótkich fantazyjne zapięcia, albo kamizelki z futra, krawaty, klapy futrzane. Trzyćwierciowe palta mniej luźne, z tenden-

cją do wcięcia. Modną, łagodną linję ramion otrzymuje się zapomocą rękawów reglanowych, stosowanych i w sukniach, i w bluzkach.

Te ostatnie nie chcą się wyrzec raz zdobytego stanu posiadania. Zacinane, z paseczkiem na wierzchu spódnic, przeważnie z baskinami są tak śliczne i różnorodne, że chciałoby się mieć ich jak najwięcej. A bluzka z lamy, uszyta w formie koszulowej, o rękawach szerokich, marszczonych, jak w chłopskiej koszuli, to przecież obiekt do marzeń i tęskliwych westchnień.

Bluzki przybiera się czasem monogramem. Haftowane, metalowe, drewniane, to jedna z ulubionych (znów) ozdób, przystrajająca krawaty, paski, kapelusze, chustki, kieszenie szlafroków.

Moda faworyzuje nadal różne rodzaje kołnierzy i mankietów: zaboty, kamizelki, pelerynki w kolorach odmiennych od całości. I wysoko pod szyję zapięte kołnierzyki od bluzek, które tak świetnie robią do twarzy przy wszelkiego rodzaju paltach i kostjumach.

Towarzyszyć nam będą nadal suknie, genre sport, składające się ze spódniczki i żakiecika, które tak chętnie przyswoiliśmy sobie na lato, przybrane kieszeniami, czasem wykończone pod szyją kołnierzykiem w kształcie rulonika.

Linja zasadniczo pozostaje ta sama, z uprzywilejowaniem długich sukien. Czarna, jedwabna, długa spódnica i do tego czarna tunika, długa do kolan z paljetek na wieczór, a z... wełny na popołudnie, czyż doprawdy może być coś ładniejszego?

Charakter linji zmienia poniekąd rodzaj materiału. Przetykane są metalem, celophanem, połyskliwe, niektóre sztywne i bardzo błyszczące. Inne tkane w grube pręgi i pasy, w supelki i kropki, w stębnówki i krateczki ze sterzącymi włoskami angory. Wystarczy na nie spojrzeć, żeby odrazu krzyknąć:

— Przecież to jesień i zima.

Maryna.

Kursy Kosmetyczne

D-rów med. Zofji i Feliksa
== ROSTKOWSKICH ==

Warszawa, Mokotowska 51, tel. 8-99-29,

dają prawo otwarcia gabinetu kosmetycznego. Najwyższy poziom naukowy. Najnowsze zdobycze kosmetyki. Specjalnie uwzględnione: praktyka kosmetyczna, charakterystyka filmowa i sceniczna, pielęgnacja włosów, wyrób preparatów kosmetycznych. Początek kursów 17 września. Internat. Przy kursach znajduje się gabinet kosmetyczny pielęgnacji cery i włosów. W ciągu całego roku przyjmuje się praktykantki dla uzupełnienia wiedzy kosmetycznej.

U progu sezonu towarzyskiego

Sezon jesienny zbliża nas z każdym dniem do właściwego „sezonu towarzyskiego“.

Każda z nas po powrocie z wy-
czasów letnich, czy urlopu roz-
poczyna rodzaj nowej ery, w której
musi się pomieścić wszystko: praca
zawodowa i domowa, życie społecz-
ne, intelektualne, towarzyskie.
Wszystkie te odcinki są przystoso-
wane do skali warunków w jakich
bytujemy, a te urabiają w większej
części władcę — bużet.

Pomijając chwilowo dziedziny
życiowe, zgrupowane powyżej, za-
trzymamy się na ostatnim punkcie,
na życiu towarzyskim. Wiadomo,
że człowiek posiada w dużej mie-
rze instynkt gromadzki. Garnie się
do ludzi, bez ludzi żyć nie umie,
ale niestety i z ludźmi nie zawsze.
To jest jednak wielka sztuka umieć
sobie dobrać miłe, wartościowe gro-
no ludzi, a jeszcze większa, pod-
trzymywać stosunki z nimi w spo-
sób zacieśniający, a nie rozluźnia-
jący węzły znajomości i przyjaźni.

W dzisiejszych ciężkich material-
nie, a zatem i moralnie, warunkach
brak swobodnej myśli, a w wielu
wypadkach i swobodnego czasu
działa destrukcyjnie na normalny
bieg życia towarzyskiego, dlatego
też trzeba je ująć w specjalne ra-
my, postawić na zdrowym gruncie,
inaczej trudno liczyć na harmonij-
ny rozwój stosunków z ludźmi.

Jedynym prawdziwie wygodnym,
a właściwie jedynym możliwym
„systemem“ towarzyskim, przy ży-
ciu wypełnionem taką, czy inną
pracą i obowiązkami jest obranie
sobie dnia przyjęć, który gwaran-
tuje równocześnie: nam swobodne
rozporządzanie pozostałymi dniami
w tygodniu, czy miesiącu, a oso-
bom, które nas chcą odwiedzić, pe-
wność zastania nas w domu, bez
zrobienia, tak zwanej różnicy i da-
remnej straty czasu.

Oznaczając dzień przyjęć, musi-
my nieodzownie porozumieć się z
gronem bliskich znajomych, celem
zbadania terenu.

Kto opóźnił się chociaż trochę z
organizacją tych spraw, musi z ko-
nieczności pozostawić prawo pier-
wszeństwa wyboru tym, którzy
dzień przyjęć już oznaczyli, a łatwo
zrozumieć, że porozumienie jest tu-
taj konieczne, gdyż jeden i ten sam
dzień, wybrany przez dwa domy,
współżyjące z tem samem gronem
ludzi, musi rozbić to grono w spo-
sób ujemny dla liczebności i na-
stroju naszych i cudzych przyjęć.

Najczęściej praktykowanym jest
przyjmowanie raz na miesiąc, np.
w pierwszy wtorek, czy w pierwszą

JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



sobotę po 1-ym. Domy o liczniej-
szem gronie znajomych, solidniej-
szym budżecie, a zatem i większej
ekspansji towarzyskiej, przyjmują
dwa razy w miesiącu, a nawet i co
tydzień. Dzień pozostaje jednak
zawsze jeden i ten sam, więc: każ-
dy wtorek; pierwszy wtorek po
1-ym i pierwszy wtorek po 15-ym
i t. d., inaczej wkradłby się taki
chaos, że nikt nie byłby w stanie
spamiętać, w którym dniu jesteśmy
właściwie w domu.

Taki system organizacyjny ma
jeszcze i tę dobrą stronę, że rozgrze-
sza nas całkowicie w obliczu tych,
którzy odwiedzają nas poza dniem
oznaczonym i nie zostają przyjęci.
Zresztą, kto zna elementarne formy
towarzyskie, wie o tem, że dom,
który powiadomił swoich znajo-
mych o wyznaczonym dniu przy-
jęć, nie powinien być niepokojony
wizytami odruchowymi chyba, że
są one następstwem zobopólnego po-
rozumienia.

Przyjęcia, o których mowa, odby-
wają się w oznaczonych godzinach.
Przyjmuje się np. od 17-ej do 20-ej,
częstując gości zazwyczaj herbatą,
tartinkami, drobnymi ciasteczkami,
owocami i t. p.

Chociaż w jadłospisie tego typu
zachodzą wahania, zależnie od
środków materialnych, połotu pani
domu i warunków lokalnych, to
jednak zwykłą i nienaruszalną ich
podstawą jest herbata, która nie-
stety rzadko kiedy stoi na wysoko-
ści zadania. To też każda pani za-
praszająca u progu sezonu towa-
rzyckiego swoich znajomych i przy-
jaciół na perjodyczną herbatkę, po-
winna postarać się osiąść umie-
jętność finezyjnego jej przyrządza-
nia i podawania.

Filiżanka herbaty może być dla
amatora i znawcy prawdziwą roz-
koszą, albo czemś w rodzaju tor-
tury, bo przecież z chwilą, gdy nam
ją podano, nie może być mowy o
czynnem zdyskwalifikowaniu jej
po pierwszym przełknięciu. Jeżeli

będzie zaparzona „na zapas“, o tem-
peraturze nieodpowiedniej, podana
w szklance, lub grubej filiżance,
a do tego rozlana na spodek, nie
może w żadnym razie stać się na-
pojem, przyczyniającym się do do-
brego nastroju towarzyskiego, na
który składają się tak różnorodne
czynniki, jak: indywidualność go-
spodarzy i gości, otoczenie, no i nie-
stety przyziemne, ale zawsze wład-
cze wpływy kulinarne.

Odpowiedzą mi Panie, i słusznie,
że ta herbaciana wycieczka nabie-
rze dopiero wtedy ciężaru gatunko-
wego, jeżeli zostanie poparta rze-
czowemi wskazówkami. Otóż chcąc
podać swoim gościom „filiżankę
herbaty“, która stoi rzeczywiście
na wysokości swojego zadania,
trzeba postąpić z nią w sposób na-
stępujący: wodę, w samowarze,
maszynce elektrycznej, lub spirytu-
sowej, albo w demokratycznym im-
bryku zagotować w ostatniej chwi-
li. Czajnik wyparzyć wrzątkiem;
wsypać odpowiednią do jego za-
wartości ilość herbaty; przykryć i
postawić na gotującej się wodzie.
Trzymać tak minutę, zalać odrobi-
ną wrzątku, i znów postawić na 2
do 3 minut na parze. Dopiero teraz
nadchodzi moment dolania wrzącej
wody do czajnika i ustawienia go
na parze na przeciąg około 10 mi-
nut (zależnie od gatunku herbaty,
jedna „naciąga“ prędzej, druga dłu-
żej).

Do wygrzanych gotującą wodą
filiżanek wlewamy esencję herba-
cianą przez specjalne sitko (naj-
praktyczniejsze są sitka, osadzone
na dziobku czajnika). Filiżanek nie
powinno się napełniać po brzegi,
musi pozostać tyle wolnego miejsca,
aby herbata nie rozlewała się na
spodek w czasie słodzenia i miesza-
nia. Podawać ją trzeba w szybkim
tempie, inaczej straci jeden ze swo-
ich najważniejszych uroków — wy-
soka temperaturę.

Ważną rzeczą jest też wyrobienie
w sobie zmysłu obserwacyjnego,
który pozwala nam zapamiętać, ja-
ką herbatę lubią nasi stali goście:
nie podawać mocnej temu, kto lubi
średnią lub słabą i vice versa. Wy-
bitne w tym kierunku upodobania
są powodowane gustem, lub stanem
zdrowia i nie powinny być przez
panią domu bagatelizowane, tem
więcej, że ten specjalny rodzaj
względów, jakim jest zapamiętanie
czyjegoś upodobania, stwarza wy-
bitnie miłą i zobowiązującą atmo-
sferę, podnosi skalę gościnności, na-
daje jej cechy finezyjne.

Powracając do ogólnej organiza-
cji dni przyjęć, musimy pamiętać
i o tem, że jednorazowe zawiado-
mienie naszych znajomych nie mo-
że wystarczyć na cały sezon. Tutaj,
jak wszędzie zresztą, nie obejdzie

się bez pewnej podniety. Trzeba się ludziom przypominać: telefonicznie, osobiście, listownie, jeżeli chcemy widywać ich u siebie często i wpoić im przeświadczenie, że będą przez nas zawsze mile widziani, no i płacić im tą samą gotowością towarzyską, jakiej po nich oczekujemy.

Wanda Dobrzańska.

Przepisy gospodarskie

Dania podwieczorkowe.

Urzaneczki z kruchych rogalików. Rogaliki o typie tak zwanym „kruchym”, które można dostać w każdej piekarni, kupić w przedzielnach, aby lekko szerszwały. Doskonale wyostrzonym nożem pokrajać je na cieniutkie, jak bibułka plasterki, rozsypać jedną warstwą na blasze od pieczenia ciastek, wsunąć do niezbyt gorącego pieca, aby przeszły, zrumieniły się na złoty kolor i nabrały chrupkości. Po ususzeniu, wybrać delikatnie na ozdobny koszyk wysłany haftowaną serwetką, odrzucając grzaneczki pokruszone. Podawać zupełnie świeże do nich masło, albo dżem.

Toasty domowe. Typowe toasty, takie jak podają w pierwszorzędnym salonach herbacianych i wszystkich nieomal domach prywatnych zagranicą, są u nas nieznane i niedostępne z powodu braku odpowiednich urządzeń (maszynki elektryczne do tostów). Można jednak zastąpić je tostami przyrządzonymi po gospodarsku.

Długą bułeczkę z formy obetrzeć z wierzchniej zrumienionej skórki, pokrajać na plasterki grubości małego palca. Ułożyć grzaneczki na grubej żelaznej patelni, nieużywanej do smażenia na tłuszczu, albo doskonale wyszorowanej. Przypiekać z obydwóch stron na złoty kolor, normując ogień tak, aby się grzanki nie przypaliły, a tylko wyraźnie zrumieniły. Najlepiej przypiekać się na płomieniu gazowym, który łatwo daje się regulować. Podawać wprost z patelni, są dobre tylko, dopóki nie wystygną. Do tostów podaje się wyborowe masło deserowe, albo dżemy owocowe.

Obwarzaneczki śmietankowe. Proporcja: 5 łyżek wyborowej, młodej kwaśnej śmietany, 5 łyżek śmietanki kremowej, 5 jaj, 10 dkg. cukru pudru, 1 szklanka masła sklarowanego, 1/2 laski wanilii sproszkowanej, mąki około 80 dkg., 2 jajka do posmarowania, masło do wysmarowania blachy.

Wymieszać doskonale na misce: jajka, śmietanę, śmietankę, cukier puder, i sproszkowaną wanilię, pozostawiając jej trochę do posypania obwarzaneczków po wierzchu. Kiedy wszystko połączy się całkowicie i wytworzy jednolitą masę, dodać tyle mąki pszennej, aby z ciasta dały się formować waleczki. Wyrobić ciasto rękami, a gdy będzie zupełnie gładkie, tulać waleczki grubości małego palca, zlepić małe okrągłe obwarzaneczki, albo też

formować je w kształcie ósemki. Układać na blachach masłem wysmarowanych, pociągnąć powierzchnię pędzelkiem maczanym w rozbitym jajku. Piec na złoty kolor. Natychmiast po wyjęciu z pieca, zanim wystygną, posypać bardzo obficie cukrem pudrem z wanilią.

Briosze. Proporcja: 5 dkg. drożdży, 55 dkg. mąki pszennej, 6 całych jaj, 30 dkg. masła deserowego, 5 dkg. cukru, trochę soli, kieliszek araku.

Rozczynić 1/3 mąki drożdżami, rozprowadzoną ciepłym mlekiem, albo ciepłą śmietanką z dodatkiem łyżeczki cukru. Gdy rozczyn podrośnie, wbić jaja, dodać resztę mąki, cukier, sól i arak. Wyrabiać rękami, wlewając stopniowo sklarowane i wystudzone masło. Wyrabiać, dopóki ciasto nie odстане od ręki. Z gotowego ciasta formować rękami wysmarowanymi masłem sklarowanym, kulki takiej wielkości, aby się zmieściły do foremek od babek śmietankowych. Każdą kulkę kłaść natychmiast po zrobieniu do foremki wysmarowanej masłem, pośrodku zrobić palcem umaczanym w mące zagłębienie, posmarować wierzch rozbitym jajkiem, włożyć w zagłębienie małą kuleczkę z ciasta, posmarować ją również jajkiem, a, gdy briosze wyrosną, piec w gorącym piecu. Podawać wprost z pieca do herbaty.

Skony. Proporcja: 2 i 1/2 filiżanki mąki pszennej, 2 łyżeczki od herbaty cukru mialkiego, soli, 4 łyżeczki strychowane proszku do pieczenia, czubatą łyżkę stołową świeżego masła, 2 jajka, 1/2 filiżanki młodej, wyborowej, kwaśnej śmietany, jajko do posmarowania, gruba sól i kminek do posypania. Masło do wysmarowania blachy.

Wymieszać: mąkę, sól, cukier i proszek do pieczenia, osiać przez gęste sito trzykrotnie. Przetrzeć mąkę z masłem, wgnieść dwa rozbite jaja i śmietanę. Wyrobić szybko na gładkie ciasto. Rozwałkować cienko na stolnicy posypanej mąką, wycinać spodkiem od filiżanki, albo dużym krążkiem blaszanym kręgi z ciasta. Każdy krążek przeciąć na cztery trójkąty, układać je na blasze, posmarowanej masłem. Pociągnąć powierzchnię rozbitym jajkiem, posypać splotą wymieszaną z kminkiem. Upiec w gorącym piecu na rumiano, podawać do herbaty wprost z pieca, oddzielnie masło deserowe formowane w kuleczki, albo krążki.

Słone placuszki z kminkiem. Proporcja: 40 dkg. masła, 2 całe jaja, 3 żółtka, półtorej szklanki kwaśnej śmietany, 1 łyżeczka od herbaty (strychowana) sody oczyszczonej, soli do smaku, 2 łyżeczki kminku, 1 i 1/2 kilograma mąki pszennej, mleka kwaśnego tyle, ile mąka wchłonie.

Utrzeć na donicy masło na śmietanę, wbijając po jednym żółtku i całe jaja, gdy się połączą, dodawać stopniowo kwaśną śmietanę. Wsypać: sodę, sól, kminek i mąkę, wyrabiając dawać tyle kwaśnego mleka, ile wchłonie mąka, uważając, aby nie zrobić zbyt twardego ciasta, powinno być takie, aby się dało swobodnie i lekko wałkować. Wyjąć ciasto na stolnicę, posypaną mąką, wyrobić doskonale rękami, rozwałkować na pół palca grubo. Wycinać szklanką okrągłe placuszki, piec w średnim

piecu na jasno-złoty kolor. Podawać wprost z pieca z kulkami, lub krążkami masła deserowego.

Placek drożdżowy z polewą migdalową. Proporcja: 25 dkg. mąki pszennej, 8 dkg. masła, 5 dkg. cukru, 2 dkg. migdałów słodkich, 2 i 1/2 dkg. drożdży, 3 żółtka, 3/4 szklanki słodkiej śmietanki, albo tłustego mleka, szczypta soli. Masło do blachy.

Proporcja na polewę: 7 dkg. masła sklarowanego, 5 dkg. zmielonych migdałów, 4 dkg. mąki pszennej, 5 dkg. cukru pudru.

Podzielić drożdże na dwie równe części; jedną połowę rozprowadzić mlekiem, albo śmietanką i przygotować na nich rozczyn, biorąc tylko trochę mąki. Postawić rozczyn w cieple, a przez czas, kiedy podраста, utrzeć masło z żółtkami na śmietanę; dodać resztę śmietanki, mąkę, cukier, migdały, wymieszać to z rozczynem, doskonale wyrobić, dodać resztę drożdży i jeszcze wyrabiać 15 minut. Postawić ciasto w cieple, aby wyrosło, a przez ten czas przygotować masę w sposób podany poniżej: Ucierać na masę migdały, obrane ze skórek i zmielone na młynku, dodając cukier i lejąc potrochu masło sklarowane, gdy masa robi się pulchna, wymieszać ją z mąką. Wyrośnięte ciasto rozwałkować na palec grubo, wyłożyć niem blachę, suto masłem posmarowaną. Ciasto ułożyć tak, aby i brzegi blachy były wylepione na 2 cm. wysoko. Rozpostrzec na cieście masę, dając ją równą warstwą, skropić powierzchnię obficie masłem sklarowanym. Piec w średnim piecu na złoty kolor. Po wyjęciu z pieca posypać obficie cukrem pudrem z wanilią.

Placek drożdżowy z kruszonką. Proporcja: 1 kg. mąki pszennej, 6 dkg. drożdży, półtorej szklanki mleka, 5 żółtek, 5 całych jajek, 25 dkg. cukru, 20 dkg. masła, łyżka wyborowej oliwy stołowej, pół laski wanilii sproszkowanej, 2 dkg. gorzkich migdałów, 15 dkg. rodzyneków sułtanek, szczypta soli.

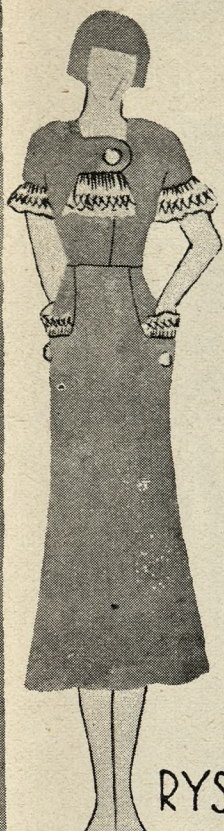
Osiać mąkę, rozczynić drożdżami, rozprowadzoną w osłodzonym mleku. Gdy rozczyn podrośnie, dodać: jaja i żółtka ubite z cukrem, sól, wanilię, migdały utarte na tarce. Wyrabiać rękami, wlewając sklarowane i przestudzone masło, oraz oliwę. Gdy ciasto od rąk odstaje, wsypać rodzyнки, przerobić ciasto jeszcze raz, aby się rodzyнки równo po niem rozeszły, postawić ciasto w cieple, aby wyrosło.

Przez ten czas przygotować kruszonkę podług następującej proporcji: 18 dkg. masła deserowego, 18 dkg. cukru pudru, 20 dkg. wyborowej mąki pszennej. Wymieszać mąkę z cukrem pudrem, osiać przez sito na misce. Masło sklarować, wlać ciepłe (nie gorące) do mąki z cukrem, wymieszać łyżką drewnianą, rozkruszyć mialko rękami.

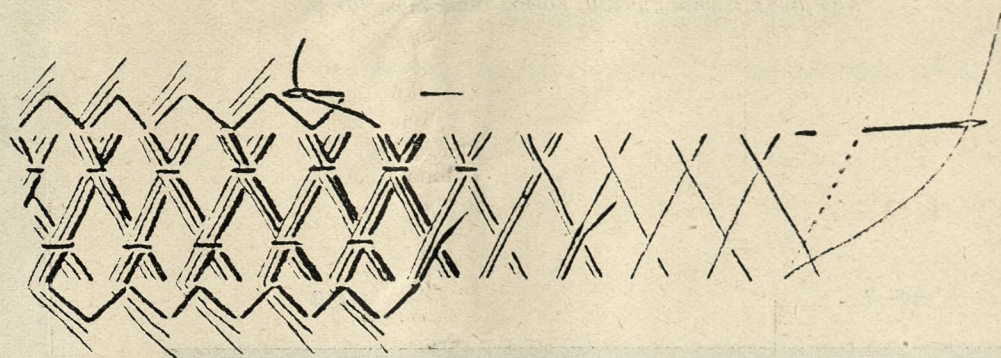
Wyrośnięte ciasto rozpostrzec na blachach wysmarowanych masłem, na dwa palce grubo, ustawić w cieple, niech dobrze podrośnie. Wtedy posmarować rozbitym jajkiem, posypać suto kruszonką, wsunąć do pieca na pół godziny. Piec najpierw na dolnej, później na górnej kondygnacji.

Melba.

SVKNIA Z FALBANKAMI



RYS.1

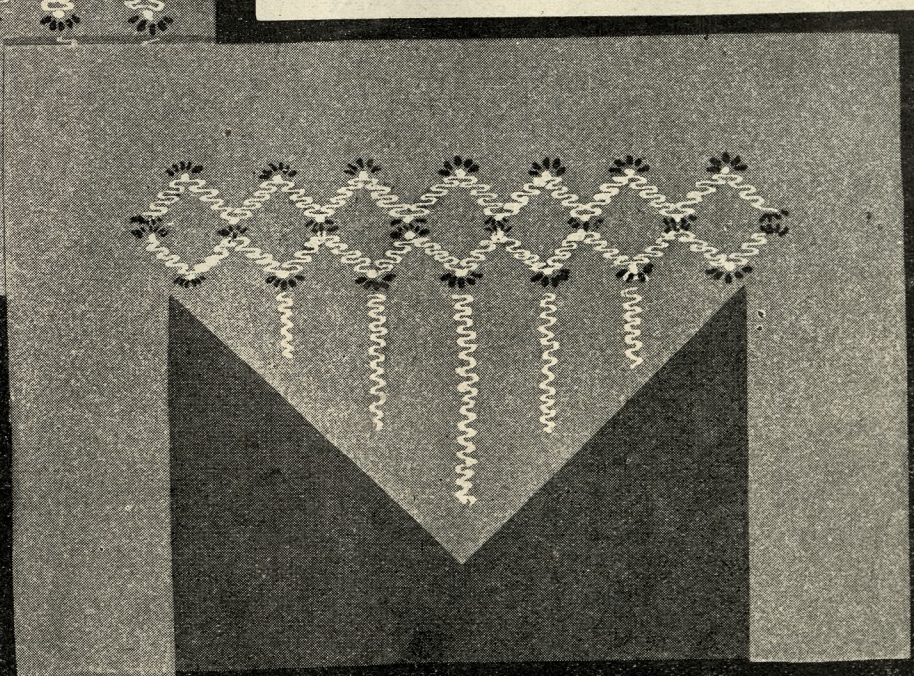
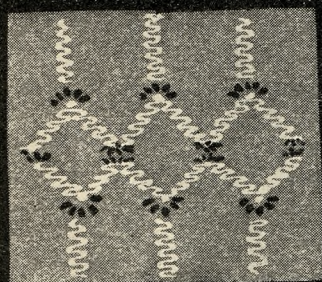
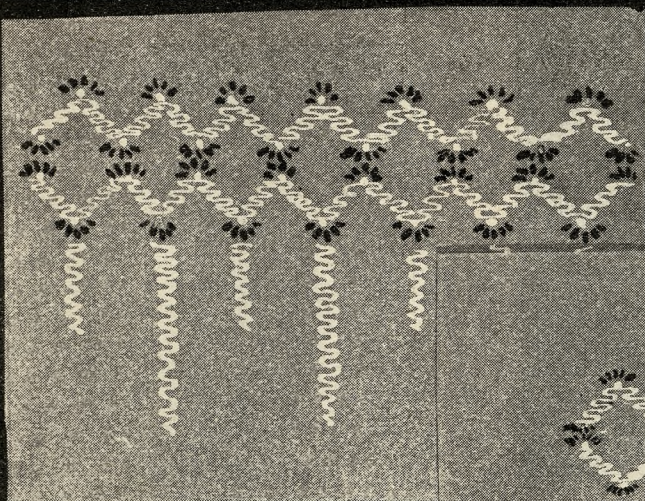


RYS 1a ZESTAWIENIE SCIEGOW
DO OZDOBIENIA FALBANEK

projekt Z. Urbańskiej.

*Bielizna pościelowa ozdobiona
haftem angielskim*

(projekt J. Jagielnickiej).

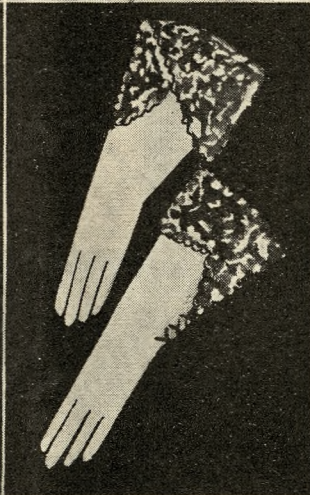
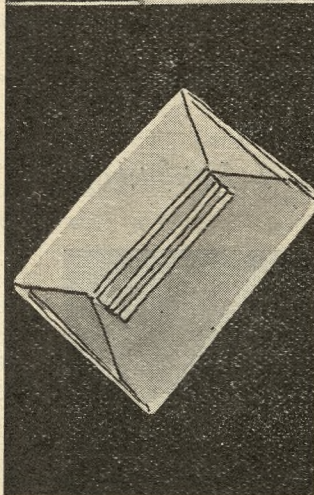
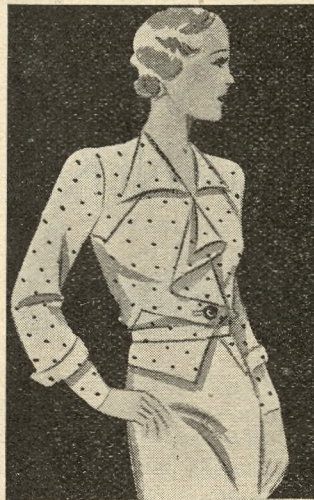


Bluzka z jedwabiu w kropki. Forma bibułkowa 103 B.

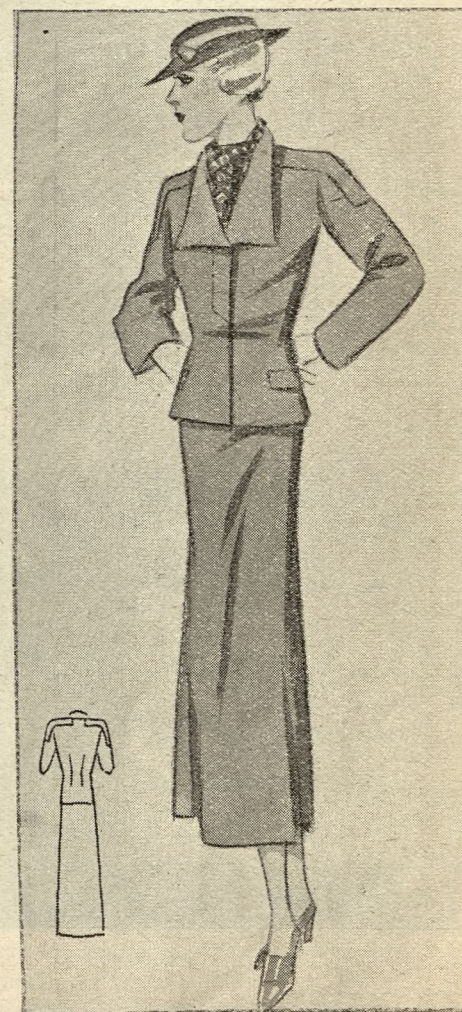
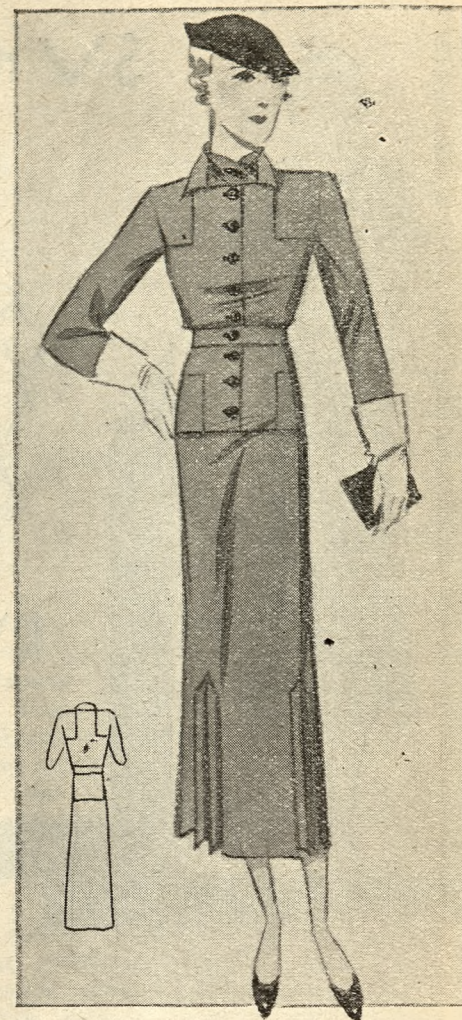
Bluzka z lekkiej wełny. Forma bibułkowa 104 B.

Kostjum z ciemnej wełny. Forma bibułkowa 105 B.

103 B.



104 B.



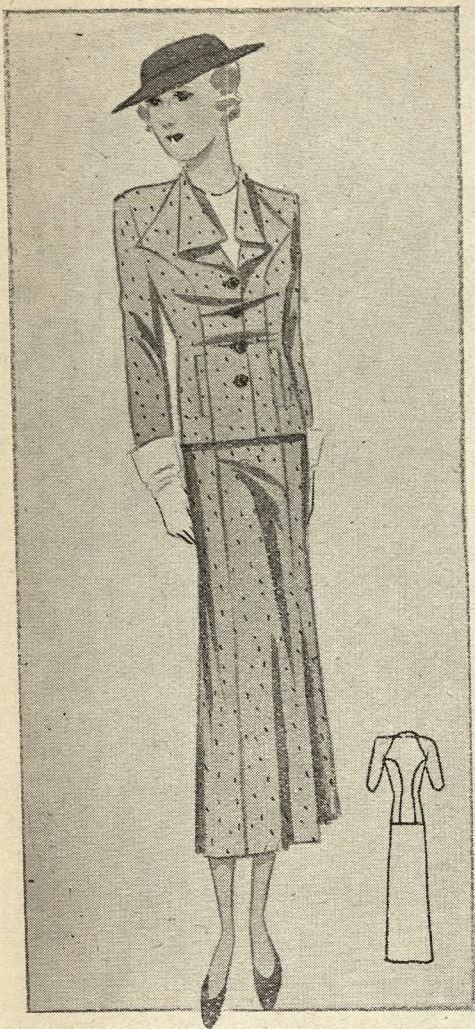
Modna torebka.

Bluzka z cr pe marocain przybrana sznurowaniem.

R kawiczki z mankietami futrzanymi.

Kostjum wełniany. Forma bib łkowa 106 B.

106 B.



Kostjumy z welny angielskiej. Forma bibulkowa 107 B.

Bluzka z marokenu białego, przybrana falbanka.

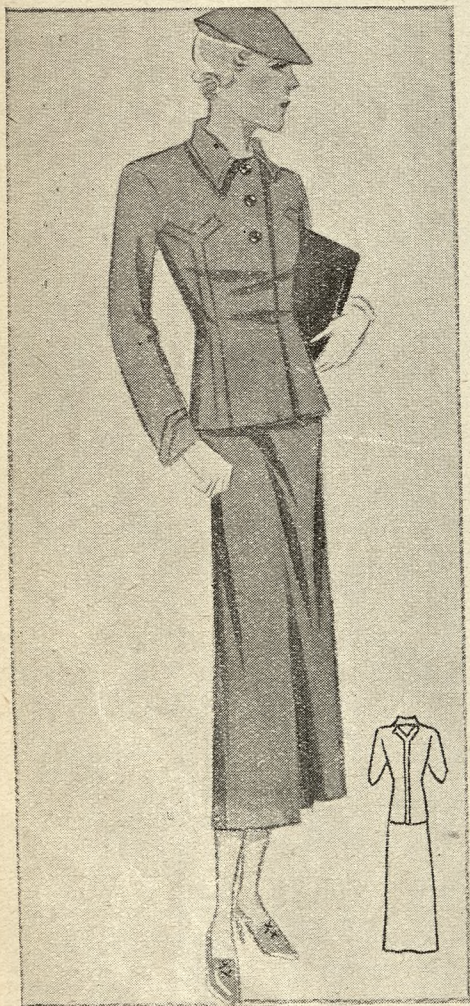
Futrzany kołnierzyk - krawat.

Bluzka z materiału w paski. Forma bibulkowa 108 B.

108 B.



110 B.



109 B.

Kostjum z welny granatowej. Forma bibulkowa 109 B

Krawat futrzany i mufka.

Bluzka z jedwabiu lub welny. Forma bibulkowa 110 B.

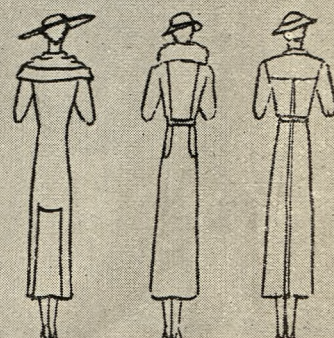
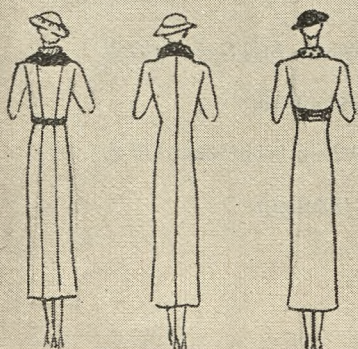
Mały kołnierzyk futrzany.

111 B.

112 B.

113 B.

114 B.



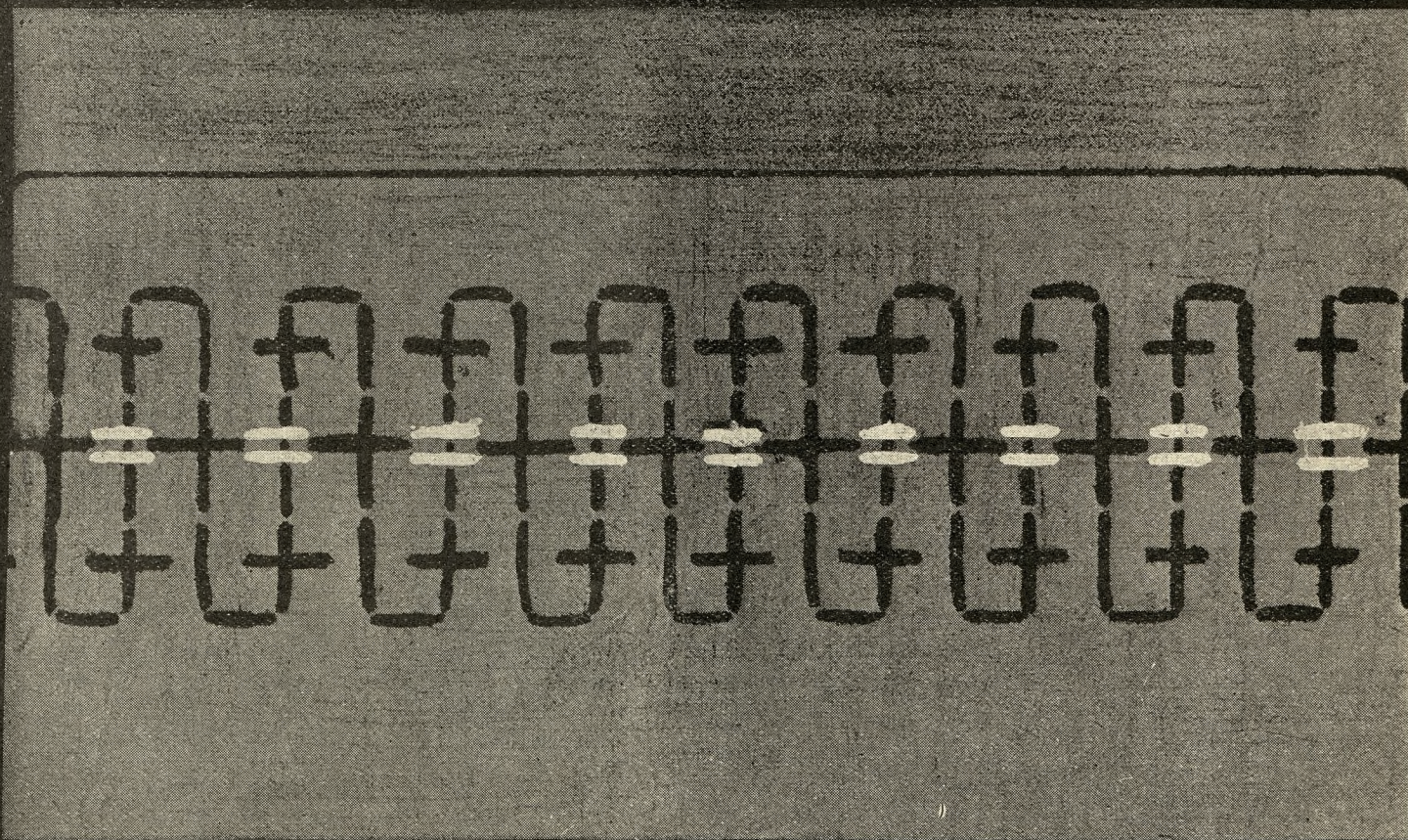
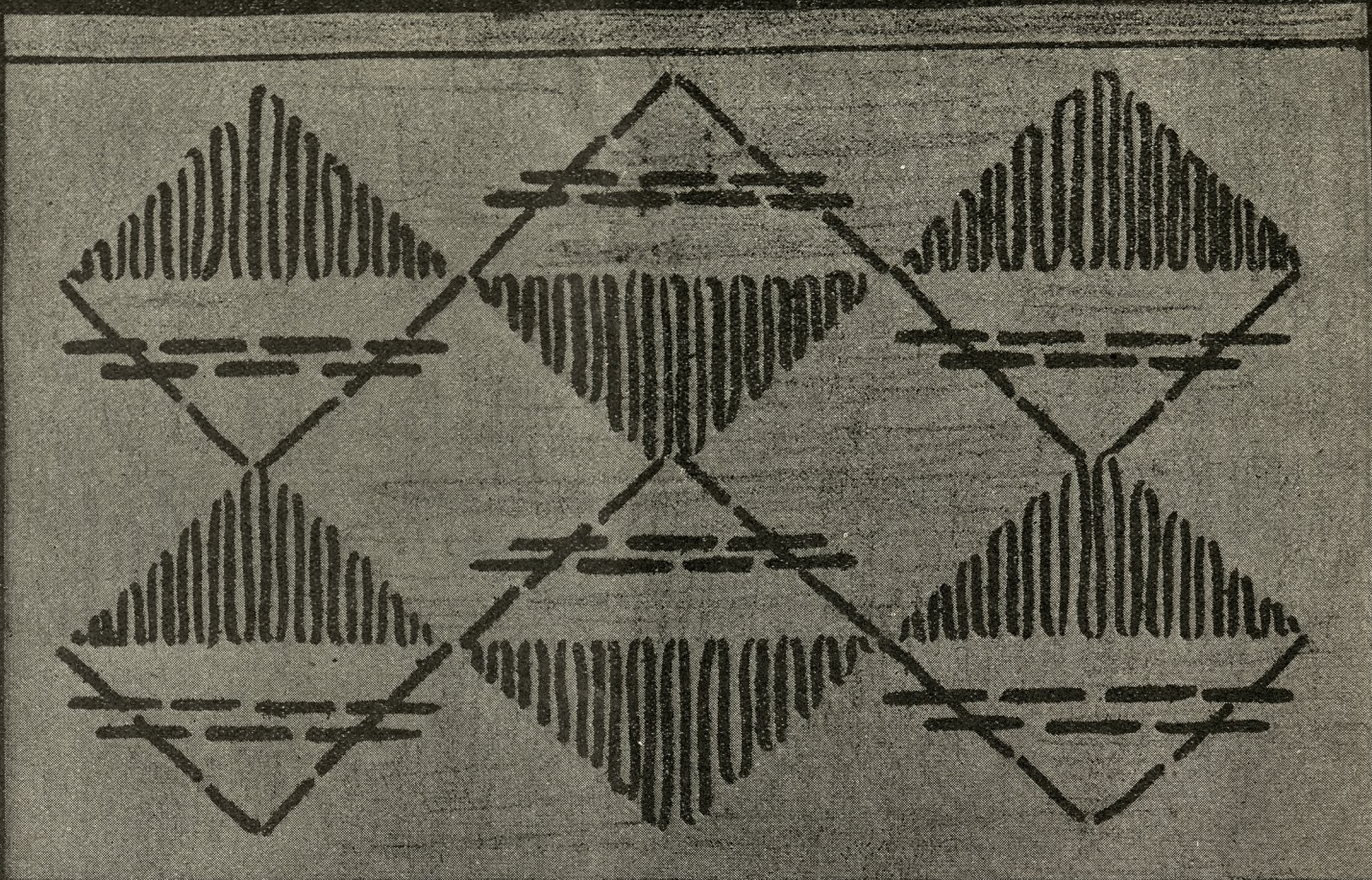
115 B.

116 B.

Palto zimowe przybrane futrem. Forma bibułkowa 111 B.
 Palto z djagonalu z przypinanym kołnierzem futrzanym. Forma bibułkowa 112 B.
 Palto z jasnej wełny. Kołnierz z lisa. Forma bibułkowa 113 B.
 Palto wełniane, kołnierz i mankiety z futra. Forma bibułkowa 114 B.
 Palto wełniane przybrane futrem w formie bolerka. Forma bibułkowa 115 B.
 Palto z jasnej wełny przybrane futrem. Forma bibułkowa 116 B.

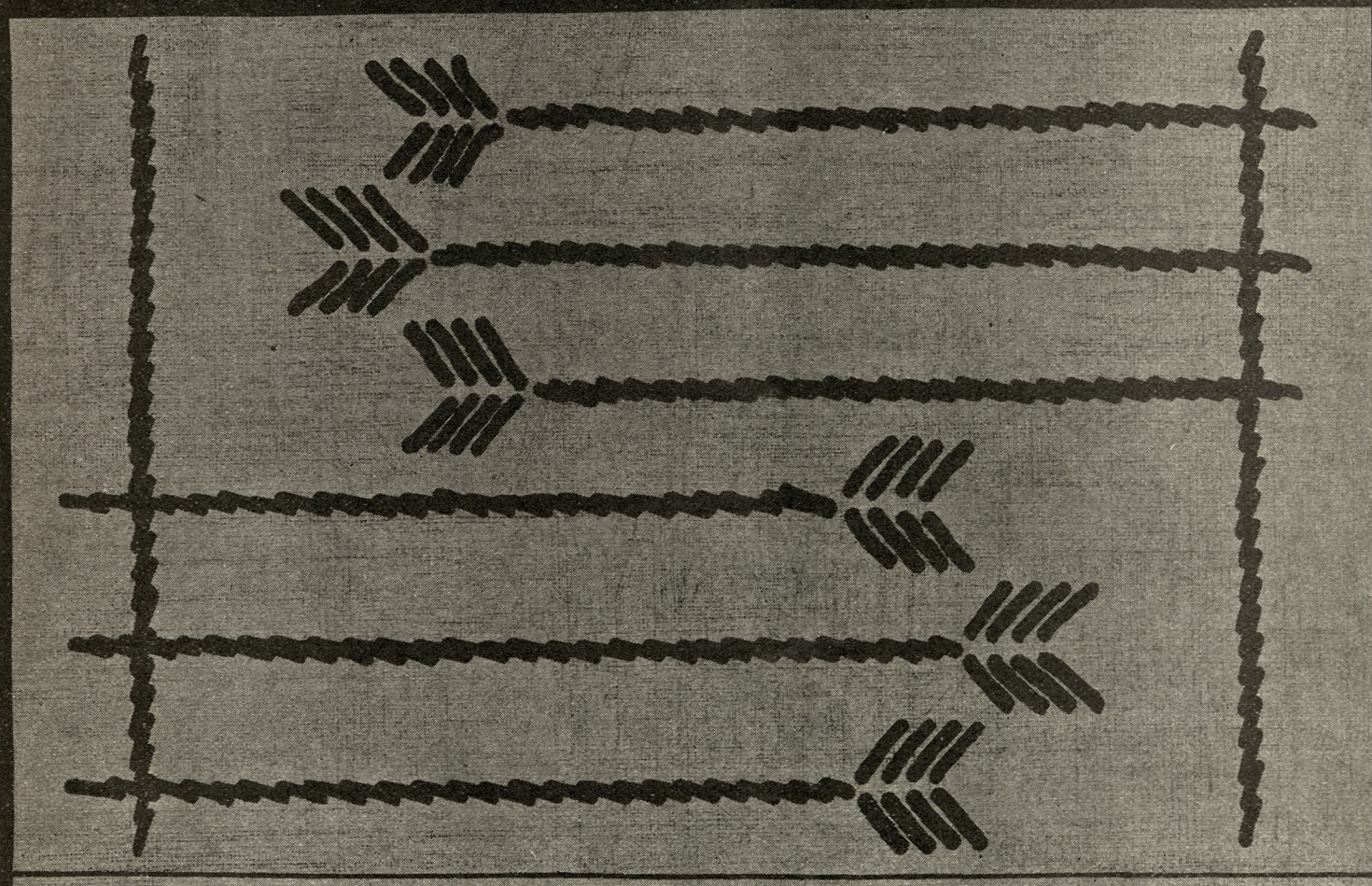
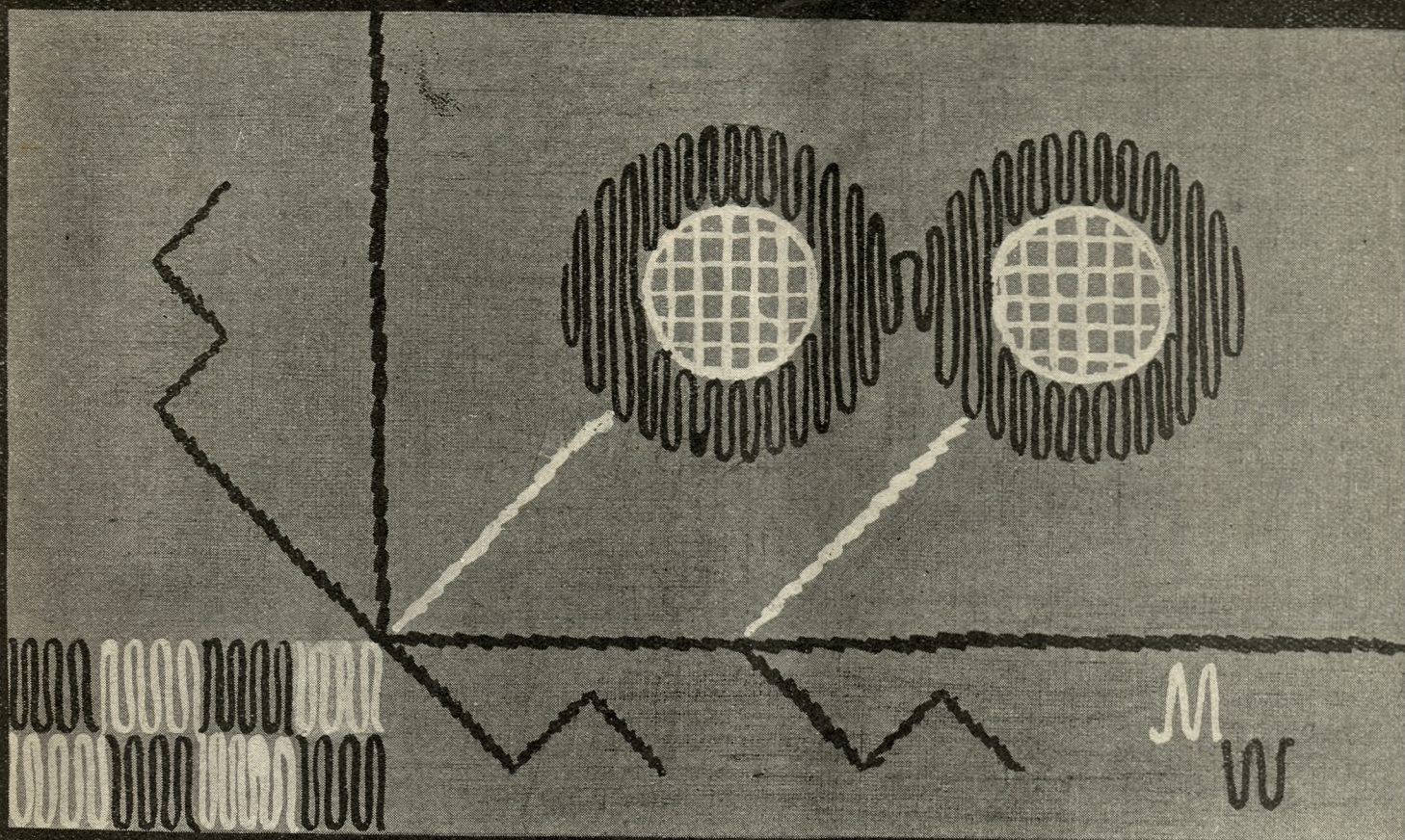


121 B.
 Palto z rękawem reglanowym. Forma bibułkowa 117 B.
 Palto z kołnierzykiem i mankietami z futra. Forma bibułkowa 118 B.
 Palto z wylogami z karakułu. Forma bibułkowa 119 B.
 Palto z fantazyjną klapą. Forma bibułkowa 120 B.
 Palto przybrane dużym wylogiem futrzanym.
 Palto naszyte futrem na wzór kostjumu. Forma bibułkowa 121 B.



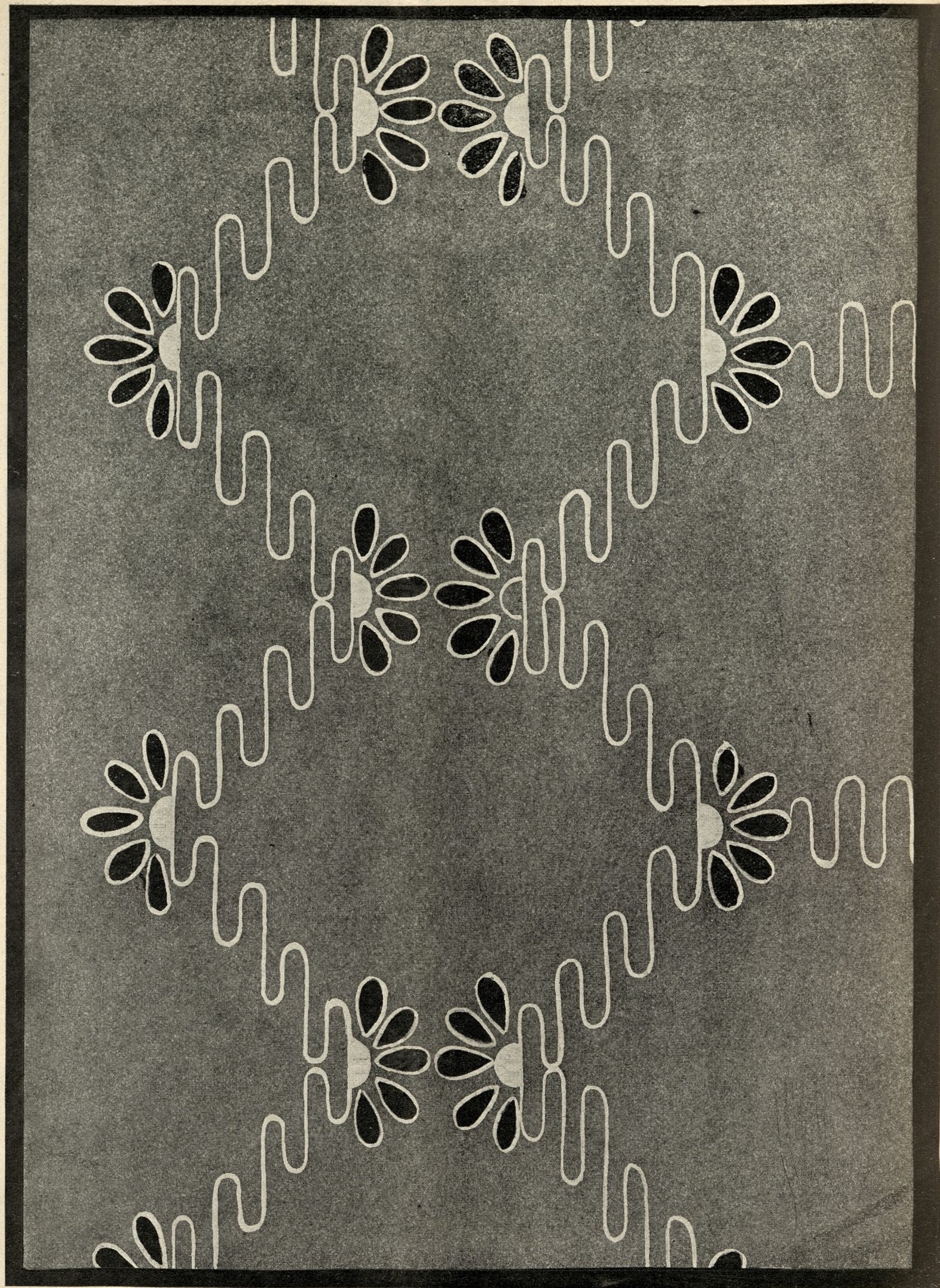
Haft kolorowy na koperty do serwet.

Projekt J. Jagielnickiej.



Haft kołorowy na koperty do serwet.

Projekt J. Jagielnickiej.



Fragment białizny pościelowej w naturalnej wielkości.

O RATUNEK DLA SZKÓŁ MACIERZY

„My wszyscy mieszkańcy wsi Piaski, gminy Motykały, już raz prosiliśmy o szkołę. Byliśmy z niej bardzo zadowoleni, ale jak krótko. Macierz chce nam zamknąć szkołę, a wieś zostawić w smutku i żałowaniu. Tak samo dzieci chodzą jak głupie i tylko nam dodają żałowania. Nie będzie szkoły to i dzieci zrobią się gorsze i nie będzie czytania książek, gazet, nie będzie kursów wieczorowych, a w końcu będzie jak wymarła. Przyjdzie zima to wieczorem mały, większy, czy stary, każdy spieszy do szkoły, a potrzeba nam jakiejś rady to znów do pani nauczycielki, a tak do kogo udamy się, dzieci nie mogą chodzić do innej szkoły, bo nie mają ubrania, a szkoła jest daleko, bo kilometrów kilka. Do Klenik znów rzeka przeszkadza, bo jak przybierze woda, to zrobi się tak szeroka, że nikt nie przejdzie ani łódką, ani promem... Więc jeszcze raz błagamy... tu następują dalsze żale i omawianie spraw domowych i w końcu charakterystyczny zwrot „Wierzmy, że nasza prośba będzie wysłuchana. Jak trzeba to i dzieci od siebie napiszą”.

Dzieci napiszą — prawda, bo któżby dzieciom odmówił?

A jednak. Poczta codziennie przynosi listy - podania, listy - prośby, mniej więcej efektownie i gramatycznie pisane z litanją wielomówiących nazwisk, podpisów — (Kotowski obok Kondratinka) — Listy z jakichś Piasków czy Klenik, do których latem promem nie dojedziesz, zimą drogą nie dojdiesz, a gdzie są dzieci, dużo dzieci, dla których powinny być przed szkoła i szkoły.

Nie pozwólmy więc, aby mieszkańcy tych dalekich stron stawali się nam znani tylko z kronik sądowych, z potwornych zbrodni, z katastrofalnych wypadków, powodzi czy pożarów. Niech dla nich, dla młodzieży, znajomość z Polską nie zaczyna się od poboru do wojska, niech przed kursami dla żołnierzy, otrzymają należną im naukę w szkole powszechnej.

Rok szkolny rozpoczyna się normalnie, ale na odcinku, powiedzmy, reprezentacyjnym: miasta, miasteczka, wsi, zgodnie z siecią szkolną. A ileż miejscowości leży poza siecią, ile rodziców prosi, błaga, aby się szkołę uruchomiło, chociaż w październiku...

Zależy to od Kół Opiekuńczych Macierzy. Spełniły one swoje zadanie w roku 1933/34 i szkoły, które im się opiekują zaczęły już rok szkolny i spokojnie go ukończą. A ile jest szkół bez opieki, ile punktów rozpoczęcie nauki setki dzieci uzależnia od 30 zł. miesięcznie. Dlatego przypominamy społeczeństwu akcję Opiekuńczych Kół Macierzy.

Koło opiekuńcze ma na celu zabezpieczenie bytu szkoły, oraz moralną opiekę nad uczącą się dźwiatą. Fundusz Koła tworzą się ze składek członków, z dobrowolnych ofiar i z dochodów Koła. Członkami Koła Opiekuńczego mogą być zarówno osoby fizyczne, jako też osoby prawne i instytucje.

Zapraszamy więc rodziców, którzy już szczęśliwie opłacili czesne za własne dzie-

ci i tych, których nauka dzieci nie kosztuje i tych, którzy dzieci wcale nie mają, aby ogarnęli sercem te wszystkie dzieci, dla których szkoła nie jest przymusem, a rajem.

Czekamy zgłoszeń w Macierzy (Krakowskie - Przedmieście 7 m. 4, tel. 692-25) i udzielamy wszelkich informacji w sprawie zakładania Kół Opiekuńczych i miejscowości, które na otwarcie szkoły czekają.

Z KONGRESU ŚWIATOWEGO INSTRUKTOREK SKAUTOWYCH

W miesiącu sierpniu r. b. odbywa się w Adelboden (Szwajcaria) Światowy Kongres Instruktoerek Skautowych, w którym biorą udział delegatki, reprezentujące organizacje skautek z 27 państw: z Polski w tej konferencji biorą udział: p. Helena Śliwowska, wiceprzewodnicząca Z. H. P., Jadwiga Falkowska, członek Naczelnej Rady Harcerskiej, Jadwiga Wierzbianańska, Naczelniczka Harcererek, Zofia de Callier, kierowniczką Wydz. Międzynarodowego.

Na przewodniczącą kongresu została wybrana p. Nickolas Brady, z Ameryki. Program konferencji składa się z 2-ech części: w pierwszym uregulowano sprawy finansowe, terminy i miejsca następnych kongresów (1936 w Szwecji, 1938 w Irlandji, 1940 we Francji), zmiany regulaminu Kongresu, dotyczące przyjmowania nowych organizacji, sprawę Międzynarodowego Domu Skautek, kursy międzynarodowe i sprawozdanie ze współpracy z Komisją Opieki nad Dzieckiem przy Lidze Narodów.

Sprawą oficjalnego zatwierdzenia nazwy i mundurów, które ma być dokonane przez Ligę Narodów, ma się zająć delegatka Litwy, p. Curlionis.

Następnie wygłoszono szereg referatów, a mianowicie:

1) Życie osobiste w dobie techniki, 2) Zabawy i skauting żeński, 3) Zdrowie i ćwiczenia fizyczne, 4) Rola ognisk obozowych w skautingu żeńskim, 5) Starsze kobiety w ruchu skautowym, 6) Współpraca instruktoerek-skautek ze szkołą, 7) Rola instruktoerek i skautek we współczesnym świecie.

Udział delegatek polskich w Kongresie był bardzo poważny; głos Polek i doświadczenie w sprawach wychowawczych był zawsze brany pod uwagę i spotykał się z wielkim uznaniem.

Na depezę Kongresu do Papieża, Kardynał Pacelli w Jego imieniu odpowiedział depezą następującej treści: „Jego Świątobliwość przyjmuje hold instruktoerek katolickich skautek zgromadzonych w Adelboden, oraz przesyła życzenia stałego rozwoju organizacji, błogosławi uczestników i pracę konferencji”.

Dodać należy, że w roku ubiegłym podobny kongres odbył się w Polsce na Buczku Harcerskim (na Śląsku).

2. WIZYTA PANA MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH W HARCERSKIM OŚRODKU MORSKIM.

Dnia 12 b. m. jacht harcererek „Grażyna” wraz z załogą przybył z Helu do Orłowa. Przebywający tam Pan Minister Beck od-

wiedził stojący przy starem moło jacht Harcererek. Po złożeniu raportu przez komendantkę, Pan Minister obejrzał jacht oraz odbył dłuższą rozmowę z załogą na temat rozwoju żeglarstwa wśród harcererek.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Zmarłionej. Proszę się przedewszystkiem nie martwić, gdyż to w pierwszej linii szkodzi cerze. Należy raczej energicznie przystąpić do racjonalnej pielęgnacji twarzy, a w krótkim czasie ze żmartenia nie pozostanie śladu. A więc: rano przemyć twarz *roschodnim płynem Mimoza*, potem przemyć ją przy pomocy *otrąbków Abarid*, przetrzeć znów *roschodnim płynem Mimoza* i lekko zapudrować. *Puder Abarid* jest w tym wypadku najodpowiedniejszy, gdyż jest to produkt czysto roślinny, pozbawiony szkodliwych domieszek, które niszczą i wysuszają w krótkim czasie cerę każdej pani. W ciągu dnia przecierać kilkakrotnie twarz *płynem Mimoza* i znów zapudrować. Po kilku tygodniach takiej kuracji przyszcze i wagi zgina, a cera będzie gładka, jak aksamit.

Danusi S. ze Lwowa, która skarży się na to, że musi ciągle się pudrować, bo puder nie trzyma się na twarzy, radzimy używać kremu, jako koniecznego podkładu pod puder. *Seta-krem* oczyszcza jednocześnie pory skóry, a puder trzyma się na nim doskonale, nadając cerze ów pożądaną puszek brzoskwinowy.

Niepernej. Ależ, droga Pani, skrupuły spowodu tego, czy ma pani „malować się” (tak się pani wyraża), są obecnie zupełnie niebrane pod uwagę. Każda kobieta pragnie być piękną, a w tym celu musi się upiększać, gdyż los nie każda obdarzył wielkim skarbem natury. Najważniejsze: upiększać się umiejętnie i przy doborze odpowiednich środków kosmetycznych. A więc śmiało, głowa do góry, proszę udać się do najbliższej perfumerji po doskonały *krem Abarid*, który cerę pani wygładzi i udelikatni, do tego *puder Abarid* (uważnie dobierać odcienie: *puder Abarid* wyrabiany jest w dwunastu odcieniach — napewno znajdzie pani dla siebie stosowny). Kilka kropel *plynu Roseina* rozprowadzonych na policzkach uczynią je podobnymi do płatków róż. *Roseina* w odcieniu ciemnym umaluje usta pani na kolor karminowy, który nie ścierea się przez cały dzień. Proszę potem przejrzeć się w lustrze, napewno nie pozna pani siebie!

Wielbicielce Greta Garbo. Greta Garbo nie ma włosów platynowych, lecz jasno-blond o złocistym odcieniu. Platynowanie włosów jest szkodliwe i w żadnym wypadku niewskazane. Natomiast włosy pani mogą nabrać prześlicznego odcienia, złoto-blond przy pomocy płynu rozjaśniającego *Hella*, który nie niszczy włosów, nie wysusza ich, ani nie spala, lecz przeciwnie: nadaje im puszystość i miękkość przy niezrównanym odcieniu.

Mary Lou. „Byłabym nawet śliczna, ale te nieszczesne piegi tak mnie szpecą” — żali się nasza miła korespondentka. Niema powodu do tych żalów, spieszymy pani z pomocą. Czy pani nie zna *kremu Precioza*? *Precioza* usuwa radykalnie piegi w krótkim czasie; nie sprawia przytem żadnych zaognień, ani miejscowych zapaleń, jak to często bywa, gdy się używa bezkrytycznie rozmaitych specyfików, rozpowszechnianych na rynku handlowym.

M-re Ercèdes.

OGŁOSZENIA DROBNE

Dr Michał Głodzki
Chirurg-Plastyk

OPERACJE KOSMETYCZNE
Złota 3 (lecznica) Warszawa, godz. 1-2 i 5-7

Wszystkim Paniom polecamy

doskonałe książeczki wydawnictwa

„Życie Praktyczne”

Zbiór i przechowywanie owoców

Potrawy z jarzyn

Co można zrobić z mleka

Co można zrobić z owoców

Co trzeba wiedzieć o grzybach

Potrawy i konserwy z grzybów

Potrawy z kartofli

Salaty i sałatki

Zimne leguminy

Jarzyny na zimę

Książka kucharska dla oszczędnych gospodyń

Kuchnia dziecięca

Nalewki i likiery

Drób i sposoby przyrządzania

Hodowla i tuczenie drobiu

Jarstwo i surówka

Obiady na maszynce

Wina owocowe

Zimne napoje

Zimne zakąski

Wyrób serów

Pieczyno domowe

Sto potraw z jaj

Zioła lekarskie najlepszym źródłem dochodu

Cukierki i słodycze

Potrawy z cielęciny

Drobne ciasteczka

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich księg.
Konto P.K.O. 12.200

Cena każdej książeczki 1 zł.

z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Każda z pań zrobi sama dla siebie, męża i dzieci najmodniejsze kamizelki, swetry,
szale i wiele innych rzeczy przy pomocy doskonałych pomocników

SZYDEŁKIE

i na

DRUTACH

DLA DZIECI

DLA MŁODZIEŻY

DLA PAŃ I PANIENEK

DLA PANÓW I CHŁOPCÓW

ŚCIEGI SZYDEŁKOWE I NA DRUTACH

Do nabycia

w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Solec 87
i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich
kioskach „Ruchu” i księgarniach

Cena każdej książki 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.